Biblioteka
UMK
Toruń
444261

LUTNIA ROBOTNICZA

444261

LUTNIA ROBOTNICZA

ZEBRAŁ EMIL HAECKER

·P·P·
·S·D·

TOM II.

KRAKÓW.
NAKŁADEM „NAPRZODU“ w KRAKOWIE I „GŁOSU“
WE LWOWIE. — WYDAŁ ZYGM. KLEMENSIEWICZ.
DRUKARNIA LUDOWA W KRAKOWIE. — — 1908.

444261

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

K.2856/II

CZĘŚĆ I.

PIEŚNI.

EUGENIUSZ POTTIER.

MIĘDZYNARODÓWKA.

(Melodya De Geyter'a).

Powstańcie wraz, pasierby ziemi,
Na głód skazani i na znój!
Już myśl blaskami promiennymi
Lud wiedzie na zwycięski bój!
Ślad przeszłości dłoń nasza zmiata!
Płynąć ludu przestaną łzy,
Ruszymy z posad bryłę świata!
Dziś niczem, jutro wszystkiem my!
Oto walka ostatnia!
Skończy się krwawy trud.
Międzynarodówka
Ogarnie ludzki ród!

Nie ulituje się nad nami
Ni król, ni klecha, pan, ni kat.
Musimy się wyzwolić sami,
Wprowadzić sprawiedliwy ład!
Z kajdan by wyswobodzić ducha,
Robotniku, ze snu się zbudź:
Dąć w ogień trza, niech płomień bucha,
Żelazo, gdy gorące, kuć!
Oto walka ostatnia i t. d.

Rząd gnębi, oszukują prawa,
Podatkiem ssanych słychać jęk.
Dla możnych tylko jest ustawa,
A prawo biednych — martwy dźwięk.
Skończyć trzeba z miarkami dwiema,
Ludu, jednę dla wszystkich staw:
„Bez prawa obowiązków niema,
Bez obowiązków niema praw!“
Oto walka ostatnia i t. d.

Rządzący światem samowładnie
Królowie kopalń, fabryk, hut,
Wszak żyją tem, że każdy kradnie
Bogactwa, które stwarza lud.
W bandy tej kasie ogniotrwałej
Stopion w złoto nasz krwawy pot,
Na własność ludu przejdzie cały,
Jak należności słusznej zwrot!
Oto walka ostatnia i t. d.

Hej, robotnicy i włościanie!
Niech w jednej partyi stanie lud!
Nam cała ziemia się dostanie.
Wypędzim darmozjadów ród.
Kruki, sępy, czyż jeszcze mało
Miały żeru krwawego z nas?
Precz z nimi! aby zajaśniało
Nam słońce na wieczysty czas!
Oto walka ostatnia i t. d.

LUDWIK MIEROSŁAWSKI.

HYMN REWOLUCYJNY.

Do broni, ludy, powstańmy wraz
I bratnią sobie podajmy dłoń;
Zetrzeć tyranów już nadszedł czas,
Wieńcem wolności ozdobmy skroń!
Hasłem do boju: Wolność i lud,
Do broni, do broni, powstańmy wraz!
Zwalczyć tyranów, wszak to nie cud,
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

Precz z tytułami: książę i pan,
Zetrzyjmy ślady haniebnych lat;
Jeden Bóg, wiara i jeden stan,
I jedno miano: bliźni i brat.
Niechaj królewski zaginie ród,
Do broni, do broni, powstańmy wraz!
Niech mądre prawa stanowi lud,
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

Miliony ludów wołają krwi
Tych, co nam tyle zrządzili zdrad;
By zetrzeć zemstę co w sercach tkwi,
Więc trzeba ofiar, więc wyrok padł.
Hasłem do boju: Wolność i lud,
Do broni, do broni, powstańmy wraz!

Zwalczyć tyranów wszak to nie cud,
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

Tych co Sekwany kosztują wód,
I tych co Wisły zalegli brzeg,
I ten z nad Newy nieszczęsny lud
Niechaj dwudziesty zjednoczy wiek.
Wszakżeśmy bracia, jeden nasz Bóg,
Do broni, do broni, już nadszedł czas!
I jedna wiara i jeden ród.
Do broni, do broni, już nadszedł czas!

A gdy ciemięzców zetrzemy ślad,
Tyranom zgubny zadamy cios,
W jednę rodzinę zmienimy świat
I szczęsny ludom zgotujem los.
Wówczas spoczniemy i złożym broń,
Wolności, pokoju użyjem wraz!
We krwi zbroczoną obmyjem dłoń,
Wykrzykniem: Precz z tronem na wieczny
czas!

EDMUND WASILEWSKI.

PIEŚŃ POWSTAŃCÓW Z R. 1863.

Zgasły dla nas nadziei promienie!
Zanim zorza zaświeci nam blada,
Stańmy jako upiorów gromada,
We krwi wrogów nasyćmy pragnienie.

Wzgardźmy życiem tem marnie pędzonem,
Nam pioruny niech grają i gromy,
A na niebie od łuny czerwonem,
Anioł śmierci przeleci widomy.

Cóż my winni, że kochać nie możem?
Gdy się wszystko tak płaszczy i karli,
My dla ziemskich rozkoszy umarli,
Żyjmy zemstą i święćmy ją nożem.

Albo lepiej precz z bronią, nożami,
Bo z nas każdy nożowi zazdrości,
My pragniemy własnymi zębami,
Szarpać ciało i kąsać do kości.

Czas już skargi i żale porzucić,
Bo wstyd czoła już od nich nam pali,
Czyż nie lepiej się zemstą rozjuszyć
W krwi niemieckiej i ścierwach moskali

W noc spokojną do domów wpadniemy,
Gdzie szczęśliwi cichemi śpią snami,
Naszą pieśnią ich spokój skłócimy,
Niech się zbudzą, niech idą za nami.

Więc gdy zgasły nadziei promienie,
Zanim zorza zaświeci nam blada,
Stańmy jako upiorów gromada,
We krwi wrogów nasyćmy pragnienie.

GDY NARÓD DO BOJU WYSTĄPIŁ...

Gdy naród do boju wystąpił z orężem,
Panowie o czynszach radzili,
Gdy naród zawołał: umrzem lub zwycię-
żem!
Panowie w stolicach bawili.

O cześć wam, panowie magnaci,
Za naszą niewolę, kajdany;
O cześć wam, książęta, hrabiowie prałaci.
Za kraj nasz, krwią bratnią zbryzgany,

Armaty pod Stoczkiem zdobyła wiara
Rękami czarnemi od pługa,
Panowie w stolicy kurzyli cygara,
Radzili o braciach z za Buga.
O cześć wam, panowie i t. d.

Wszak waszym był synem ów niecny kunk-
tator,
Co wzbudzał przed wrogiem obawę,
I wódz ten naczelny, pobożny dyktator
I zdrajca, co sprzedał Warszawę.
O cześć wam, panowie i t. d.

Lecz kiedy wybije godzina powstania,
Magnatom lud ucztę zgotuje,

Muzykę piekielną zaprosi do grania,
A szlachta niech wtedy tańcuje.
O cześć wam, panowie i t. d.

Powstańcy nie znają wiedeńskich traktatów,
Nie wchodzą w układy z carami,
Lecz biją Moskali, wieszają magnatów
I mścić się umieją stryczkami.
O cześć wam, panowie i t. d.

MARYA MARKOWSKA.

ŚPIEW LUDU W ZABORZE PRUSKIM.

(Na nutę: „Gdy naród do boju...“)

Gdy w walce z niedolą lud stawał się mężem,
Junkrowie ze szlachtą radzili:
„Uchwalim kanały i wierność przysiężem,
„Lud za to nam kieszeń zasili.“
O cześć wam, panowie magnaci,
Za nowe wyzysku kajdany!
O cześć wam szlachcice, junkierscy kam-
raci,
Za lud nasz, lud głodem nękany!

Tak łatwo przy dymku wonnego cygara
Uleci i setka i druga,
Gdy w walce i trudzie pracuje wciąż wiara
Od hebla, od młota, od pługa —
O cześć wam i t. d.

Za cłami głosują panowie centrowi,
Dla panów pieniędzy potrzeba!
— Niech zboże drożeje — biednemu ludowi
Wydrzyjmy ostatni kęs chleba.
O cześć wam i t. d.

Lecz oto nadchodzi odwetu godzina,
Godzina wolności, wypłaty!
Świadomy, potężny — lud walkę zaczyna
Powstają fabryki i chaty. —
O cześć wam i t. d.

Nędzarze bezdomni podnoszą już głowę
Gdzie z mgieł się wyłania świat młody,
Gdzie jasne promienne lśni słońce majowe
I biją okrzyki: swobody!
Ha! drżyjcie panowie magnaci
Za krwawe wyzysku kajdany,
Ha! drżyjcie szlachcice, wy zdrajcy i kaci
Za lud nasz, lud głodem nękany.

MARYA MARKOWSKA.

KOLĘDA ROBOTNIKA POLSKIEGO.

(Na nutę „W żłobie leży“).

Na wsze strony biją dzwony,
Kolendują ludziska:
My śpiewaki, wolne ptaki,
Choć nas przemoc uciska.
Płyńcie pieśni, płyńże nasza!
Już piwnice i poddasza
Ozwały się do wtóru.

Gdzie łza mroczy smutne oczy,
Stają, stają do chóru;
Grzmi pieśń nasza, już wypłasza
Starej nędzy upiory.
Naszej męki siew bogaty
Kruszy zamki, łamie kraty,
Rwie więzienne zapory.

Hej! już budzi sennych ludzi, —
Płoną serca i głowy;
Oko błyska, skrami ciska,
Dzień już bliski godowy,
Dziś wesoło, dziś wesoło,
Niech rozjaśni każdy czoło,
Kolędujmy w swobodzie!

Może czeka niedaleka
Śmierć o chłodzie i głodzie...
Precz łańcuchy! Wolne duchy,
Nas nic nigdy nie zmoże!
Do nas bracia, do nas młodzi,
Temu życie i swoboda,
Kto pozrywa obroże!

Z więzień cieśni, z Łodzi, z Wrześni,
Z cytadeli, wygnania,
Których ręka, pruska ręka,
Lub knut carski pogania:
Do nas, bracia, przybywajcie
I kolędę zaśpiewajcie
Ludów zmartwychpowstania!

ŚPIEW WIĘŹNIÓW.

Czemu tęsknisz za chatą, za chatą, za chatą,
Czyż nie lepiej za kratą, za kratą — Nam.

Mamy pokój książęcy,
Łóżko, stołek, nic więcej — Nic.

Mamy wszelką wygodę:
Chleb, kapustę i wodę — Wciąż.

Nie boim się złodziei,
Bo pilnuje z kolei — Moch.

Brak nam tylko swobody.
Jęczą bez niej narody — Tak.

Do Tobolska etapem
Pojedziemy z kacapem — Wraz.

A kibitka jak febra
Trzęsie kiszki i żebra — Nam.

A z Tobolska w Kamczatku
Pojedziemy w ostatku — Tam.

A w Kamczatce pod batem
Rozstaniem się z tym światem — Raz.

Podniesiem się wysoko
I spadniemy głęboko — W dół.

Sprawa nasza niech żyje!
Wszelki ucisk niech zginie — Niech!

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

ZOFIA FILIPOWICZ.

HEJ BRACIA, BRACIA ROBOTNICY!

Hej bracia, bracia robotnicy,
A wszak to dziś jest pierwszy maj, —
Z fabrycznej wyjdźcie dziś ciemnicy,
Marzeniem lećcie w inny kraj!

Niech dłoń, co ciężki młot dźwigała,
Niech się podniesie znojna skroń,
Niech robotnicza klasa cała
Powiewów wiosny wchłonie woń!

Szeregiem, naprzód idźmy śmiało,
Po drodze sennych zbudzi pieśń;
Potęgą naprzód ruszym całą
Wiekowych ciemnic strząsnąć pleśń.

Na jasnym niebios dziś lazurze,
Gdziekolwiek się nasz zwróci zwrok,
Czerwony sztandar szumi w górze,
Wyrasta już nad mgły i mrok...

Ku przerażeniu sytej zgrai
Idziemy razem, w dłoni dłoń,
Wolność nam przyszły los umai,
W solidarności nasza broń!

A więc szeregiem, bracia, dalej!
Od żądań naszych grzmi ten śpiew,
Wezbranym nurtem huczą fale, —
Zbyt długo płyną łzy i krew...

CZĘŚĆ II.

DEKLAMACYE.

ADAM MICKIEWICZ.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jej wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie,
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali,

Nie lgnie do nieba fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innemi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem — zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem: „stań się“ z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią.

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wiecznie skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące...
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

ADAM ASNYK.

HERAKLES.

Greckie go mity Heraklesem zwały,
Chociaż właściwie **l u d e m** się nazywa;
Na wieczną pracę nieba go skazały,
Więc jego ramię nigdy nie spoczywa.

Jest pracowity, silny i wytrwały,
Lwia skóra nagie barki mu pokrywa,
Lecz wobec pana swojego nieśmiały,
Łańcuchów swoich sam kuje ogniwa

I spełnia wszystkie najcięższe zlecenia.
Kiedy podniesie maczugę — to straszny!
A jednak stąpa cicho, najzwyczajniej,

Pełen zaparcia i upokorzenia.
Śmieją się z niego, że jest za rubaszny,
Kiedy go widzą w augiaszowej stajni...

Dziewicza muza nieraz wstydem spłonie,
Widząc, jak grubej oddany swawoli
Pijaną orgią gasi ogień w łonie,
Pragnąc zapomnieć o tem, co go boli,

Lub gdy rożżarty nadmiarem niedoli
Chwyta w szaleństwie za trujące bronie

I na świat biegnie w niszczyciela roli
I krwią niewinnych plami swoje dłonie!

Jednak pomimo tych wybuchów szału,
Przez które w niwecz idzie wieków praca
I wielkich czynów szereg się zaciera, —

Z obłędu swego budząc się pomału,
Kornie na dawne stanowisko wraca
I spełnia dalej dzieło bohatera.

On bohaterstwo swoje mało ceni
I nie wie jeszcze, czem jest i czem będzie,
Nie wie, że cało wyszedłszy z płomieni
Miejsce dla siebie wśród bogów zdobędzie;

Lecz wiedzą o tem bogowie strapieni,
Co w nim mieć chcieli posłuszne narzędzie!
Więc cały Olimp z wściekłości się pieni
I prześladuje go zawsze i wszędzie:

Jeszcze w kolebce posyłał mu gady,
Aby go zgniotły w duszącym uścisku,
I wciąż olbrzymów tysiącem nań godzi! —

Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady!
Będzie zwycięzcą... i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodzi!

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI.

SKON JANA HŁASKI.

(Zdarzenie prawdziwe).

Śnieżna zawieja na sybirskim stepie...
Mróz skrzy się wkoło, niby wilcze ślepie,
Wiatr huczy groźnie i jak zwierz ponury
O Krasnojorska rozbija się mury,
To znów się zwraca wściekły, rozszalały.
Na nagie marglu czerwonego skały
I krwawych głazów obnażone łono
Okrywa białą, śnieżystą oponą...
Nieliczne drzewa, jak północne mary,
Wznoszą ku niebu bezlistne konary,
Jakby groziły niebieskiej potędze
Za boleść ludzi, za hańbę, za nędzę,
Za tę niewolę i za te męczarnie,
Które tu znosi i cierpi — bezkarnie!...
Step pusty... Czasem tylko wśród zamieci
Po ołowianem niebie ptak przeleci,
Albo zwierz głodny, w dół spuściwszy uszy,
Śniegowy całun chyżą stopą wzruszy...
Ludzi nie widać... Któż wśród pory takiej
Na świat by wyjrzał? Nikt... nawet żołdaki
Siedzą w koszarach, w płaszcze otuleni,
Przy blasku z ognisk bijących płomieni
I czaj „z pridumkoj“ spijając niedbale
O świat i siebie nie troszczą się wcale...

Wśród takiej pory — z wichrami w zawody
Dążył za miasto człowiek jakiś młody...
Płaszcz miał rozpięty, krągła czapka mała
Prawie mu całe czoło zasłaniała,
Z pod daszka widać tylko można było
Czarnych ócz dwoje błyskających z siłą
I twarz pociągłą, bladą jak opłatki...
Biegnął, jak gdyby wszystkich sił ostatki
Chciał zużytkować, a choć mróz był wściekły,
Potu mu krople po obliczu ciekły...
On pot obcierał, by nie marzł na twarzy,
Zręcznie wymijał posterunki straży
I biegł za miasto...
Za rogatką blisko
Wznosi się wielkie, szerokie skalisko —
On wdarł się na nią — wzniósł nad oczy dłonie
I długo patrzał ku zachodniej stronie,
Potem w nadziei zawiedzion widocznie,
Jak człek, co nie wie, co ze sobą pocznie,
Opuścił ręce i w zadumie cały
Usiadł bezwładnie na odłamku skały...
Wiatr mroźny miotał nań śniegu tumany —
On niby posąg siedział przykowany
Z okiem wlepionem w zachód...
Nieszczęśliwy!
Znam cię! Tyś brat nasz! Jednemi ogniwy
Zamiary nasze połączone z sobą,
Jedną radością, jednaką żałobą

Drżały nam serca — myśli, czucia jedne
Powstały w naszych głowach samowiedne,
Za które życie na ofiarę złożyć.
Nie znaczy umrzeć, ale znaczy ożyć,
Nieśmiertelności bowiem wam użycza
Sprawa ludowa — sprawa robotnicza!
Znam cię, przyszłości wielki bohaterze!
Cały swój żywot złożyłeś w ofierze
Dla sprawiedliwej, wielkiej, świętej sprawy...
Los się do ciebie uśmiechał łaskawy,
W uczonych ludzi świat mieścił cię rzędzie,
Miałeś dostatki i szacunek wszędzie,
Mogłeś był, gdybyś chciał, być egoistą,
W żywocie drogą wciąż chadzać kwiecistą,
Z uśmiechem słodycz wysysać ze świata,
Ale porwała cię dusza skrzydlata,
Do wielkich myśli, do walki zaciętej,
Za sprawiedliwość, za ideał święty,
Za wolność, równość, braterstwo!
Toż za to
Srogie katusze były twą zapłatą
I na powolną śmierć cię łaska carska
Tu popędziła — w mury Krasnojarska —
Mogłeś był zginąć — lecz za wielką łaską
Masz na Sybirze umrzeć — Janie Hłasko!

„Czyli nadejdą?“ Jan cichemi słowy
Szepcze do siebie... „Może śnieg stepowy
Zasypał biednych gdzie w jakim wądole?
Może...“ Po bladem potarł ręką czoło

I wzrok wytężył ponad śnieżną drogą
Silniej niż przedtem... Nie widać nikogo.
Ludzkiego głosu nie słychać...

Och! gdyby
Zawitał który do mojej siedziby
I samotności ciężar ołowiany
Choćby na chwilę przerwał druh kochany!
O! Gdyby jedno uściśnienie dłoni,
Gdyby choć wiedzieć, co też robią *oni*,
Jak walczą, cierpią, nadzieją się poją,
Jakby to dolę osłodziło moją!
Na śmierć powolną skazany, na nędzę,
Żywot mój ciężki w samotności pędzę,
Tych ludzi, których tu snuje się mrowie,
Nie mogę pojąć ni w czynie, ni w słowie...
Straszna me serce objęła tęsknota,
Duch mój się w ciele jak ptak w klatce
miota,
Pada skrwawiony, kona, nicestwieje...
Och! Jak okropne są wygnania dzieje!

Czyli nadejdą?

Inaczej, inaczej.
Nie na tej ziemi bolów i rozpaczy,
Przesiąkłej łzami, okrytej żałobą,
Sądziłem, że się spotkamy ze sobą!
Marzyłem... W niebo biją surm odgłosy,
Zrywają pęta ludowe kolosy...
Płomienny sztandar, wichrem potargany,
Wznosi się w górę nad najwyższe szczyty...

Oh! To nasz sztandar, krwią naszą obmyty,
Płynie i w słońcu kąpie się... My przy nim,
Naszą powinność, wielką służbę czynim,
Walczym, zwycięstwo nasze! I świat nowy
W miejsce spróchniałej powstaje budowy —
Co złe — zniknęło, — co nędzne — runęło...
Oh! Co za rozkosz widzieć takie dzieło!!
Lecz — jak to różne od rzeczywistości!
Dzisiaj — tu czekam sercu drogich gości,
Tak jak ja więźniów... Przez stepowe szlaki
Na kaźń wygnania pędzą ich żołdaki
Zgłodniałych, zziębłych... O sroga katuszy!
Wiatr wieje — w oczy zimnym śniegiem
prószy —
Zimno i pusto — na świecie — i w duszy!...“
I jęknął Hłasko głęboko —
Wtem w dali
Na rozhukanej miałkich śniegów fali
Nikły punkt czarny, ledwie dostrzeżony
Zjawił się nagle od zachodniej strony —
I z rykiem wichru niewyraźne krzyki
Zlały się w akord ponury a dziki...
Hłasko wytężył wzrok w zimne przestwo-
rze —
Punkt czarny wzrasta — ah! to oni może —
Tak, tak — to transport więźniów — tak,
to oni!
Widać kibitki — słychać tupot koni,
Odgłos się dzwonków rozlega rozgłośnie —
Z czarnego punktu czarna bryła rośnie —

Na mniejsze bryły w oczach się rozdziela —
Tak — tak — to oni — godzino wesela!
To oni — druhy jednej wielkiej sprawy —
To podkomendni tej samej buławy —
Choć w więzach — wolni — wielcy, choć
gnębieni —
To duchy z jednych ukute płomieni —
To wieczna groźba zemsty dla tyrana —
To przyszłość, której musi być wygrana!
Bladą twarz Hłaski rumieńce oblały,
W oczach mu zapał zajaśniał wspaniały —
Naprzeciw braci chyżym krokiem bieży,
Roztrąca konwój brodatych żołnierzy;
„Witajcie — woła — towarzysze mili!“
Już przy kibitkach — już widzi w tej chwili
Znajome twarze drogich towarzyszy —
Słyszy ich głosy — prawie oddech słyszy —
Błogo mu — błogo...
Nagle zbladł jak chusta,
Ból konwulsyjny ściął mu sine usta —
Za pierś się chwycił rękoma kurczowo
I padł. — „Witajcie!“ to ostatnie słowo
Wyjęknął — ogień mu serce rozszerzył —
Nie zniosło tego — pękło. — Hłasko nie żył...

— — — — — — — — — —

Zabrawszy trupa — transport ruszył dalej —
Razem z więźniami sołdaci płakali,
Wioząc do miasta niezastygłe zwłoki...
Lud nie pojmuje, ale czci proroki!

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI.

W SZYNKOWNI.

Szynkarzu! hej wódki! Uf, jaki czas brzydki!
Na zimnie i deszczu pracując dzień cały,
Przeziąbłem do kości, przemokłem do nitki,
Daj wódki, bo szynkwas rozbiję w kawały.
  Wyborna! Jak grzeje! W twe ręce Jakóbie,
  Siadajmy — człek zawsze rzeźwiejszym
      się czuje.
  Dziś płacę gotówką, — daj flaszkę —
      tak lubię —
  No, pijcież Jakóbie, ja dzisiaj funduję".
„Za wiele" — „Ot! Macie wzór cnoty cho-
      dzącej —
Gdy człek się dzień cały narobi jak zwierzę,
Na zimnie i deszczu bez strawy gorącej,
To musi się napić, bo skąd sił nabierze?
  A zresztą, jak pije, to człek zapomina
  O pracy i nędzy i biedzie, co gniecie,
  Ta wódka to moja pociecha jedyna,
  Jedyna, co jeszcze mnie trzyma na świecie.
I cóż my tu w życiu tem mamy dobrego?
Wciąż trudy, a za to w nagrodzie wspa-
      niałej
Zużyte łachmany, kęs chleba czarnego
I trochę barłogu — ot żywot nasz cały...

I jakżeż tu nie pić? Gdy w sercu tu boli,
Gdy bieda cię gniecie, gdy nędza cię bije?
Bogacze też piją... lecz piją z swawoli,
Ja piję, bo nie chcę pamiętać, że żyję".
Więc piją... Łojówka ponuro migoce,
Raz gaśnie, to znowu jaskrawiej zaświta,
Wiatr mroźny o szyby szynkowni łomoce,
To płacze, to warczy, to kwili, to zgrzyta...
Więc piją... krwią wrzącą nabiegły im skronie,
Pierś dysze, wzrok błędny, napół oszalały
Piotr zerwał się z ławy — zacisnął w pięść dłonie
I spuścił je na stół, aż szyby zadrżały.
„Przekleństwo!" zacharczał, „piekielne katusze,
Jeżeli gdzie jesteś, na niego spuść Boże!
Mój stary! Dziś wszystko powiedzieć ci muszę...
Och, serce mi pęka! To ulży mi może!...
Za młodu przywykłem do pracy uczciwej,
Spokojniem wśród trudów żył życiem jednakiem,
Z dnia na dzień — i byłem tem życiem szczęśliwy —
I byłem szczęśliwy — nie byłem pijakiem...
Myślałem, że człowiek na biedę stworzony,
Potrzeba ją znosić pokornie a śmiało,
Robiłem za dwoje — dla siebie i żony —
I jakoś się nieźle obojgu nam działo...

Niedługo nam Pan Bóg dał dziecię. Wraz
z żoną
Jak my się tem dzieckiem cieszyli oboje!
Och, śliczne to było! Z ochotą zdwojoną
Zacząłem pracować... Robiłem za troje...
Mularka — to ciężka robota... Oj trzeba
Napocić się dobrze, a płacą — jak wiecie —
Lecz jakoś szło dobrze — nie brakło nam
chleba,
Grosz grosza nie gonił — lecz żyło się przecie!
Raz nawet dość grosza przyniosłem dla
żony,
Przy murze przez tydzień pracując noc
całą —
Kupiła obrazów trzy — kufer zielony —
I jeszcze się nawet coś trochę zostało.
Z latami przybyło dziecięcej chudoby,
Najstarsza dziewczyna wyrosła jak róża, —
Wtem nagle zasłabłem... Gdym wyszedł
z choroby,
Nie było mularki — poszedłem za stróża...
Choć z młodu włożony do pracy mozolnej,
Nie chciałem się chętnie za sługę spo-
sobić...
Człek biedę i nędzę lżej znosi gdy wolny—
Lecz trzeba żyć przecie — a cóż było
robić?...
Poszedłem więc w służbę. Człek wprawny
od młodu
Do żadnej poczciwej się pracy nie leni —

Przywykłem do mego nowego zawodu
I często grosz zaczął już brzękać w kieszeni.
Dzieciaki się zdrowo chowały... Zosienka
Niedawno szesnaście skończyła już latek,
A była prześliczna, by jaka panienka,
A jaki to rozum był u niej i statek!...
Najbardziej ze wszystkich ją dzieci kochałem,
W niej wszystko widziałem, cel pracy i życia,
Za krwawą mą pracę do szkoły oddałem,
A ze szkoły gdy wyszła, posłałem do szycia.
Jak ja się cieszyłem, gdy rano w niedzielę
Zosienka się moja w kapelusz ubrała
I w nową sukienkę, a potem w kościele,
Na pamięć z maleńkiej książeczki czytała!
A w domu toż radość, gdy wróci z roboty,
Choć kładź się od śmiechu od różnych igraszek,
Wciąż żarty i śmiechy, kunsztyki i psoty,
A ciągle chichoce i śpiewa, jak ptaszek...
Mówiło mi nieraz poczciwe żonisko:
„Odmłodnieć nam przy niej, mój Jezu najsłodszy“.
I dobrze mówiła — gdym przy niej był blisko,
Dalibóg, że byłem silniejszy i młodszy.
Myślałem... Toć takie to śliczne i zgrabne,
Jej tylko być panią, nie robić dla chleba,
Lecz pięknie się stroić w sukienki jedwabne...
Los jakiś piękniejszy obmyśleć jej trzeba!

Jej rączki tak małe, paluszki toczone
Za drobne, niezdatne na twardą robotę,
Jej tylko utrefiać w lok włoski kręcone
I w piękne pierścienie ozdabiać się złote!
Ja nędzarz, ubogi ja człek i roboczy,
Martwiłem się — czasem człek stary zwariuje —
Że szycie jej może zaszkodzić na oczy,
Że igła jej nadto paluszki pokłuje...
Czas było nareszcie ustalić jej szczęście,
O ile to człowiek na przyszłość potrafi,
Żądali jej ludzie porządni w zamęzcie,
Czekałem—być może, że lepszy się trafi!...
Wtem nagle mi smutnieć zaczęła Zosienka,
Pobladła i biała jak kreda się stała —
Z ust zniknął jej uśmiech, z gardziołka piosenka
I często — spostrzegłem — ukradkiem płakała...
„Cóż tobie", Zosienko? „Nic ojcze..." „Tyś chora...
Z dniem każdym więdniejesz, uroczy mój kwiatku...
Do łóżka się połóż, — zawołam doktora..."
„Jam zdrowa... nie trzeba — to przejdzie, mój tatku".
„Nie żartuj, dziewczyno, nie żartuj z chorobą,
Tyś dla mnie jest wszystkiem, jam cieniem twym echem...

Och! Gdybyś umarła — umarłbym wraz
z tobą...“
„Jam zdrowa“ — odrzekła ze smutnym
uśmiechem.
Czas mijał, wciąż dziewczę nieswoje
i blade,
Gdy pytam, czy chora — wciąż mówi, że
zdrowa,
Pytałem doktora i kumów o radę,
A może to urok? Niech Pan Bóg zachowa!
Raz wracam do domu w spóźnioną godzinę...
Na progu ze łzami czekała mnie żona...
— Niech piekło cię porwie za taką nowinę!!!
To wszystko nieprawda! Ty kłamiesz, sza-
lona!!
Czemprędzej pobiegłem do izby. „Zo-
sienko,
Nieprawdaż, że matka twa myli się sro-
dze?“
Leżała na łóżku, zakryła twarz ręką
I jęcząc, szeptała: „Och, daruj niebodze!!“
Zachwiałem się, w oczach zrobiło się ciemno,
Jak kamień stanąłem, bez czucia, bez mowy,
Przez chwilę nie czułem, co dzieje się ze
mną,
Krew potem mi falą buchnęła do głowy...
Jak wściekły ryknąłem: „Kto on? Przez
szatana!
Odpowiedz!!“ W tej chwili być strasznym
musiałem!

Na łóżku się wiła i łzami zalana
Wyrzekła nazwisko! Och, dobrze je znałem!
Skoczyłem na piętro — drzwi nogą wypchnąłem —
Już byłem w pokoju... Gospodarz wraz z synem,
Wesoło gawędząc, siedzieli za stołem,
Palili cygara — raczyli się winem...
Zdziwiony wstał stary: „Co najazd ten znaczy?“
Uśmiechnął się młody — piekielną miał minę,
Ja stałem jak niemy — nareszcie w rozpaczy
Buchnąłem: „Syn pański mi zhańbił dziewczynę!“
„Dziewczynę niewinną wróć zaraz mi łotrze,
„Niech życia nie pędzi w zgryzocie i wstydzie...“
Syn milczał — a stary surowo: „Dość Piotrze!
Komedyi nie lubię, wiem o co ci idzie!
A zresztą — to zręczna dziewczyna twa córka —
Wie kogo przypuścić do swoich zalotów —
Zapłacić potrafię“.. Przystąpił do biurka—
I rzucił mi na stół pęk żółtych banknotów...

Z wściekłością skoczyłem na niego — w ramiona
Chwyciłem — za szyję dusiłem go białą —
Padł, charczał — dusiłem, już czułem, że kona...
A potem — nie pomnę, co dalej się stało...
Straciłem przytomność... Za cztery tygodnie
Stawałem przed sądem — zapadła uchwała —
Dostałem dwa lata — zda mi się za zbrodnię,
Za zbrodnię „ciężkiego uszkodzenia ciała“...
Dwa lata przebyłem wespół z zbrodniarzami...
Jak to się starzeje człek prędko i zmienia:
Do kaźni przyszedłem z czarnymi włosami,
A biały jak gołąb wyszedłem z więzienia...
Nieszczęsna ma Zośka w świat poszła... Niech idzie...
Żonisko mi chore, od roku już leży...
Ot wszystko! Człek żyje w zgryzocie i biedzie...
Lecz już się niewiele do śmierci należy...
Wy śpicie, Jakóbie? Jam troskę tajemną
I boleść ci odkrył, co w duszy śpi skrycie.
Myślałem, że westchniesz, zapłaczesz nademną...
Ten pijak śpi przy tem... Jakóbie, słyszycie?!

Poczciwy kum Jakób wstał — oczy przeciera...
„Tak Piotrze, niech zginą zgryzoty i smutki!
„Tu jakoś w tym szynku mniej bieda doskwiera,
„Szynkarzu, na kredyt daj jeszcze nam wódki!“
„Ech, idźcie już Piotrze, wszak żona wam chora!“
Wtem silne pukanie u drzwi się rozległo —
I dziecię obdarte, wychudłe jak zmora,
Skoczyło do izby — do Piotra podbiegło...
„Ach! Mama umarła!“ „Umarła?! Idź, mały —
Zmów pacierz za mamę, ja przyjdę za chwilę“...
Jął szukać pieniędzy... „Majątek mój cały
Nie starczy na trumnę i krzyż na mogile“...

MARYA KONOPNICKA.

WSTAŃ, O DZIECIĘ!

I.

Wstań, o dziecię! Idź na pole,
Gdzie pot ludu wsiąka w rolę,
Gdzie pod jasnem naszem niebem,
Kłosy brzęczą żytnim chlebem,
Jako struny szklane.
Idź i słuchaj, a w tym szumie
Może serce twe zrozumie,
Jakie to tam rosy świecą,
Jak masz uczcić dolę kmiecą,
I zgrzebną sukmanę!

II.

Ucz się, drogie dziecię moje,
Nosić wcześnie twarde zbroje,
Jak dawni rycerze!
Nie z żelaza, nie ze stali,
Te, co ludzie wykowali
Hełmy i pancerze,
Ale jasną, ale dzielną,
Zbroję ducha nieśmiertelną,
Co się strzał nie boi,
Ale taką tarczę złotą,
Co się zowie wolą, cnotą,
A za oręż stoi.

III.

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy zlanej potem,
Odgadujesz dolę twardą,
Uchyl czoła, synu miły
Przed tym, co się krwawo znoi:
Lud i praca — to są siły,
A świat cały niemi stoi!

MARYA KONOPNICKA.

W PIWNICZNEJ IZBIE.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada
Wilgotny, a ponury:
Mętnemi szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słychać:
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.

— Moja mateńko, moja rodzona,
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają jak my w piwnicy?
I widzą het... obłoki?
— Oj, widzą, synku, wszyściutko widzą,
Caluśki świat szeroki.

Oj, widzą one pola i lasy
I łąki i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak rodzi ziemia czarna...

Oj, widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzciną...

— A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinkę
Zobaczyć czasem nieba?

— Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne...

— To i Pan Jezus bliżej być musi
I patrzy na te dzieci...
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci...
. . . .

W piwnicznej izbie głos zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta.
W gęstnącym zmroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słychać kąta:

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?
— W polu to, synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schowa,
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebowa.

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną,
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną.

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie.

Od spodu słoma jak trzcina stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuśkie kłosy,
Aż kładą się po sobie.

A jęczmień to ci taki wąsaty,
A gryka to ci taka miodna,
A lny — jak niebo... a grochy w strączkach,
Że ich nie przejrzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrgnie,
Przepiórka w głos zadzwoni,
A z łąki kędyś po rosie słychać
Spętanych rżenie koni.

. . . .

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą...
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

. . . .

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam na tej łące?
— Na łące, synku, to trawy rosną
W srebrzystej mgle stojące...

A w trawach kwiecie żółte i białe,
A bokiem modra struga,
A słonko sobie po niebie chodzi
I złotem oczkiem mruga...

A po mokradłach bocian szczudłuje
I żaby dzióbem bierze,
A skowroneczek do Boga leci
I śpiewa swe pacierze.

I dziewczę idzie i krówkę pędzi —
Chuścina i zapaska —
A krówka ryczy a porykuje,
A pastuch z bicza trzaska.

Brzeczkiem nad rowem złocieniec rośnie
I wierzbe na fujarki,
A siwy kaczor w trzcinach się zrywa,
Sznurkuje derkacz szparki.

A po przydrożku pod leśną ścianą
Kosiarze idą z kosą,
A te dziewczątka jak gąski białe
W dwojakach jeść im niosą...

. . . .

W piwnicznej izbie głos dziecka wzdycha
Z wilgotnej, brudnej pleśni...
A oczy jego patrzą w okienko,
Czy mu się czasem nie śni...

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tym lesie?
— W lesie to, synku, szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie.

I wielkie jakieś dziwy powiada
O starych onych czasach,
Co to już o nich wieść tylko lata
Po ciemnych, cichych lasach.

A taki zmrok tam zielony, świeży,
Że gdzie!... I ksiądz sam nie ma
Na Boże ciało na procesyi
Takiego baldachima!

Dęby a jodły jako te wieże
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.

A sosny śmigłe szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą,
A dzień się przez nie jak sitem sieje
I patrzy złotą rzęsą.

Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórka świśnie,
A jarzębiny w kolorach stoją
I pachną leśne wiśnie.

A jakie to tam gniazda ptasie,
Furkania a szczebioty...
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.

A co tam żuczków, co muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych, jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

A owczarz sobie pod lasem stoi
Siwe owieczki pasie,
A Kurta szczeka a naszczekuje:
A nawróć się! A zasię!...

A z bożą męką krzyż w macierzankach
Starej mogiły strzeże,
A kto tam przejdzie, ten sobie westchnie
I szepce swe pacierze...

A dech ci taki słodki, a mocny,
Gdzie stąpisz dookoła,
Bo smółki topną i mirrę sączą
I zdrowiem tchną tam zioła...

— A to i jabym może, mateńko,
Ozdrowiał w onym lesie?
A w tej piwnicy tom jak źdźbło ono,
Co się za wiatrem niesie...

— Oj, ozdrowiałbyś, synku, nieboże,
Mój ty świerszczyku cichy!
A tak mi zamrzesz jeszcze przed zimą
Jak ten wróbelek lichy...

Oj, ozdrowiałbyś, synku rodzony,
Mój ty robaczku marny!
A tak mi przyjdzie twoją głoweńkę
Zakopać w dołek czarny!...

. . . .

— Nie płaczcie, matuś, nie płaczcie ino!
Może się jeszcze uda...
A teraz precz mi rozpowiadajcie,
Jakie to tam są cuda!

— Oj, są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne a rodzone!
Złociste łany, srebrzyste zdroje,
I sady rozkwiecone...

Oj, są tam takie cuda na niebie
I na tej bożej ziemi,
Że człowiek nie wie, na co ma pierwej
Oczami patrzeć swemi!

— A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słonko świeci?

. . . .

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słychać kąta...
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny
Jako ta czarna dola...
— Któż dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola?

MARYA KONOPNICKA.

MŁODY ŻOŁNIERZU!

(Motyw z irlandzkiej pieśni ludowej).

Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
W jaki ty idziesz bój?

W śmiertelny idę bój.
W śmiertelny trud i znój,
W śmiertelny proch i pył...
W ból, który wiecznie był,
I wiecznie trwa,
Idę radosny,
A na promiennym puklerzu
Mej wiosny
Jutrzenka gra!

Wskróś mroków i omdlenia,
Wskróś burzy i zawiei,
Bez chwały, bez korzyści,
Bez wodza i bez roty,
Sam niosąc sztandar mój, —
W bój idę wszechtęsknoty,
W bój idę wszechpragnienia,
W bój idę wszechnadziei,
Co nie dla mnie się ziści,
W ogromny duchów bój!

Na śmierć, na skon
Młodość mą niosę,
Pod walki kosę,
Jak złoty plon
Ciężki od ros...

Idę cichy, płonący,
Idę w mrokach żarzący,
Na wielkie bojowisko,
Gdzie duchów wszechognisko
Płonie, świeci, rozbłyska,
Lecę — iskra ogniska —
Na całopalny stos.

Może rozwidnię sobą
Pola ciemne żałobą,
Może sobą ogrzeję
Stygnącą serc nadzieję...
Jako się rzuca z szczytów
Gwałtowny zdrój.

Tak — jasny od jutra świtów
Idę w ten bój,
Co z mojem życiem
I z serca biciem
Jest nierozdzielny...
W bój duchów idę! W bój idę śmiertelny!

Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
Za co ty idziesz w bój?

Za wszystko dobre idę w bój,
Za ideałów ołtarz mój,
Za życia moc,
Za życia zdrój.
Co dla pokoleń niezrodzonych płynie
W tajemnej czasów głębinie,
Idę przez mrok, idę przez noc,
Wierny przymierzu,
Co duchy w ogniwa sprzęga...
Na śmierć — jest moja przysięga,
Ofiara — jest mój znak.

W bój idę za bratni ul,
Za bratni rój,
Za światło chat,
Za spokój pól...

Idę, by na swem gnieździe mógł wolny
śpiewać ptak,
By mógł zakwitnąć z pęka biały jutra kwiat,
By ziemia rodzić mogła dla łaknących kłosy,
By usłyszane były tajne wieku głosy
W pustym dnia gwarze, —

Za podniesienie pochylonych głów
W jasny blask słońca,
Za wielką pieśń bez słów,
Którą na dziejów cytarze,
Co świeci, chwałą złota,

Na strunach czynów,
Z ojców na synów,
Nieśmiertelny hymn żywota
Naród — od lat tysiąca —
Sam sobie gra!

Ja skra, ja ruch,
Ja młodość świata,
Ja życia duch,
Co z mogił rozlata,
Za ideałów ołtarz mój,
Za wszystko dobre idę w bój,
W śmiertelny bój!

MARYA KONOPNICKA.

OFIARA PRACY.

Czarna otchłań kopalni lampek błyska
żarem,
Huk ciężkich kroków z szybu blizkiego
dolata,
Ponurym korowodem, zgięci pod ciężarem,
Idą górnicy, niosąc zabitego brata.
Na noszach ciało nagie, sztywne, wynę-
dzniałe,
Na pierś zimną rzucona kurtka, łachman
zdarty,
Z pod kurty wisi ręka, a z niej, jako
z karty
Krwawej, widne dzieje życia tego całe.
Zwolna sunie korowód w milczeniu głę-
bokiem,
Na twarzach skamieniałych ni bólu, ni
skargi,
A przed marami, świecąc, silnym idzie
krokiem
Górnik w kapturze, pięści ściskając i wargi.
W spojrzeniu błyskawica nagła i ponura,
Czoło zbrużdżone, piorun buntu po niem
lata;
Zakryty idzie. Jutro uchyli kaptura
I ukaże oblicze zmienionego świata.

ADA NEGRI.

STREJK.

Przekład Maryi Konopnickiej.

I.
BEZROBOCIE.

Niby potwór dziwaczny, posępny, olbrzymi,
Pod jasnem słońcem wznosząc mury swe
złowieszcze,
Fabryka nie oddycha, nie huczy, nie dymi...
Południe już na niebie — fabryka śpi je-
szcze.
Nawskróś ją oniemiła cichość martwa, głu-
cha,
Porzuconej tak pracy, jak zbyt ciężkie brze-
mię —
Pustka. Nikt się nie tłoczy, nikt wrzawą
nie bucha,
Posępny bunt rozpaczy zszedł, milcząc, na
ziemię.
Ciemne mury — ruiną zdają się w tej ciszy,
Pył zasnuł nieruchomo stojące warsztaty.
Na murze, grubo skreślił jeden z towarzy-
szy:
„Bezrobocie, lub słuszne za pracę zapłaty!“
I stanęły maszyny... Tylko ich błyszczące

Zęby, co już niejedne zgryzły tutaj kości,
Z potwornych szczęk żelaznych świecą,
kiedy słońce
Padnie na ich cielska potokiem jasności.
Znieruchomiały koła, odklęte raz przecie
Z błyskawicznego pędu, z wichrowych obro-
tów,
Stanąwszy nagle, jako czaty na widecie,
Bez tchu, z palcem na cynglu, co do strzału
gotów.
Wszystko stanęło. Walce, czółenka, grze-
bienie,
Ognie na paleniskach wygasły do końca...
W kotłach wody zabrakło, a na to zniszcze-
nie
Szyderczo pada promień jaskrawego słońca.
Ale po kątach sali, pod mrocznem sklepie-
niem,
Pełza mar strasznych orszak dziwaczny,
ponury,
Powstają widma groźne z posępnem wej-
rzeniem,
I rozwłóczą swe cienie przez wilgotne mury.
I patrz! Nagle rzecz każda jak żywa się
rusza
I ludzkie kształty bierze, ludzkie bierze
twarze.
Jakaś potężna, jakaś tytaniczna dusza,
Tchnie dech życia w warsztaty, w sale,
w korytarze...

I patrz! każda maszyna prorockiem obli-
czem
Spogląda, bożych sądów mieszcząca go-
dzinę...
Dyszą piersi motorów tchnieniem tajemni-
czem,
Błyskają niby miecze sztaby stali sine...
Aż buchnął głos ogromny... — O, jutrzenko
złota!
Nie jesteś ty już od nas, nie jesteś daleka...
Gdy robotnik, przykuty do cewki, do młota,
Odzyska nieśmiertelną dostojność człowieka,
Gdy wzejdziesz — sprawiedliwość wyprze
nędzę z ziemi,
Wszystkie oczy się wzniosą w promienne
niebiosy
Ku jasnym ideałom! pod blaski twojemi
Podźwignie głowę dziecko, starzec siwo-
włosy.
O spłyń, miłości rzeko! Spłyń ku nam szu-
miąca,
Iżby piersi spalone dostały ochłody.
Iżby lud wziął chrzest życia, z żywiącej
twej wody —
O płyń! O napój wargi spragnione tysiąca!...
Już pierwszy zabrzask jutra ośpiewali ptacy,
Już niebo się rozbiela, już dzień nam się
staje,
Dzień zbawiony braterstwa, swobodnej
dzień pracy,

Już rąbek zorzy płonie nad ziemi okraje...
O wiosno serc, braterstwa łzami uroszo-
nych,
O światła, o wolności wymodlony cudzie,
Gdy nie będzie zwycięzców, ani zwyciężo-
nych,
Ani silnych, ni słabych, tylko bracia ludzie!

II.
KONIEC BEZROBOCIA.

Spojrzeli sobie w twarze. Tłum znędzniały,
blady,
Od głodu i niespania, a od troski niemy...
Dosyć mają tej walki... Aż jeden z gromady
Odezwał się nieśmiało... „Kiedyż koniec?...
mrzemy!...“
A drugi: — „Mnie dzieciska płaczą w izbie
z głodu...“
A inny: „Moja leży w szpitalu...“ — A je-
szcze
Inny — jęknął, a przez pierś narodu
Mroźny przeleciał wicher i lodowe dreszcze.
Ale z płomieniem w oku wyszedł nagle
z kupy
Młody robotnik: — „Nigdy!... Trwajmy do
ostatka,
Aż sprawiedliwość przyjdzie — żywi, albo
trupy!
I my ludzie!... I nas też porodziła matka“!
. . . .

Spojrzeli sobie w twarze. Tłum wyschły
i blady
Od głodu i niespania, a od męki — niemy.
A nad ciszą śmiertelną milczącej gromady,
Jedna myśl drżała: „Kiedyż koniec?...
mrzemy"!
I wznieśli w swych łachmanach, w głodu
majestacie,
Hamując w piersiach łkanie wstydu, troski,
biedy —
Surowe, zrozpaczone, widmowe postacie!
Znowu u swych warsztatów stanęły... Do
biedy?...

III.

POGRZEB W CZASIE STREJKU.

Karawan trzeciej klasy, czarny wóz nę-
dzarza
Zwolna się uroczyście toczy po ulicy,
Z prostą, drewnianą trumną starego murarza,
Od bram kostnicy.
Jak wóz tryumfatora po zwycięskim boju,
Cichy w swym wielkim krzyku, w swej nę-
dzy dostojny,
Zwolna do wieczystego dobija spokoju,
Z śmiertelnej wojny.
Za nim bratnie szeregi, karne a milczące,
Jak jeden mąż tak kroczą równe i niezłomne.
Tłum zwarty: Idą setki, dziesiątki, tysiące...
Skroś tłumu, światło dnia przebłyska
ogromne.

Odważni towarzysze pracy, głodu — męki,
Braterstwem bezrobocia związani na nowo,
Idą z pobladłą twarzą i z krepą u ręki,
Wzniośli, pogodni prawie, i z wzniesioną
głową.
Bezbronni bojownicy, których duch zaciąga.
Idą za czarną trumną starego nędzarza,
A żaden głos, ni bębnów, ni trąb nie urąga
Śmiertelnej ciszy, która aż przeraża.
. . . .
O bracie, coś w tych ciężkich terminach
był z nami,
Bracie, po czarnym pasie i po czarnym
chlebie,
Otoś skonał, ufając, że cię nie omami
Nadzieja, na dalekiem kędyś widna niebie.
Bracie! Otwórz te śmiercią ugaszone oczy,
I patrz! Otośmy wszyscy duchem zespoleni
W swej nadziei, co słabych nas — w potę-
żnych zmieni,
Oto armia przyszłości za trumną twą kroczy.
Wiemy odtąd, że idąc, silni naszą wiarą,
Z tych jesteśmy, co jutra swego nie uronią,
Że wzmocnimy ziemię niemocną i starą.
Wiemy, że pięść wzniesiona nikczemnych
jest bronią.
Że ślepy kamień w ręku — ciemnych jest
orężem,
Razem z dzikimi wrzaski, z pożarem na
strzesie,

My, jak rzeka wspaniała ujść wieku do-
siężem,
Jak rzeka, którą pęd sam do morza zaniesie,
My — niecofniona w spadzie wyrwanym
lawina,
Co przybiera w potędze swej z chwili na
chwile,
To pierś przy piersi — murem — od ojca
do syna
Szeregi zaprzysięgłe, spokojne w swej sile,
To młot rymy bijący o bezduszne skały,
Powoli, nieutrudzenie...
Co martwe kruszy kamienie,
Pod zasiew wiosny wspaniały!
Oto w cześć tym, co padną, uchylamy czoła,
Rzucamy kwiaty stokroci...
I dalej idziem, dalej, gdzie jutro nas woła,
Gdzie się słoneczny dzień złoci!

IV.
KARTKA Z KRONIKI.

Czytam...
„Lud zebrał się i ruszył. Cały
Tłum ludu zajął ulice i place,
I tak stał, z piersi własnych czyniąc wały,
O chleb dla dzieci krzycząc, i o pracę“.
Czytam...
„W pałacach wśród srogiego brzęku
Lud wytłukł szyby. Zawarto wnet bramy
I okiennice. Wojsko, z bronią w ręku

Wyszło na rynek. Już widok ten samy
Był straszny! Kobiet wzniosły się lamenty,
Żołnierze zbledli. A wtem głos komendy:
— „Ognia“! — I gęsto padły insurgenty...
Jak się ten głodny motłoch burzy wszędy“!

. . . .

Zamykam książkę.
...Kto winien? I w imię
Zwycięzców, i tych co padli, zaczynam
Czuć jakieś głuche wzburzenie olbrzymie;
I nieznanego w mroku coś przeklinam.

KAZIMIERZ TETMAJER.

HASŁO.

Co potem będzie, co nas to obchodzi,
Byle to zniszczyć, co jest teraz złem;
Jutro — pragnienia nowe światu zrodzi,
Dzisiejszym żyjmy dniem!

Dzieło tworzenia po zniszczenia dziele
Przyjdzie — niech o niem utopiści śnią —
My śnić nie mamy czasu, burzyciele,
Dzisiejsze walim zło!

Jutro?... Ach, choćby z przyszłości odmętu
Żaden świat lepszy nie wyłonił się:
My, pełni wzgardy, ohydy i wstrętu,
Dzisiejsze niszczmy złe!

KAZIMIERZ TETMAJER.

W NOWY ROK.

........Dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło stworzenia.

Mickiewicz.

Zło dopełnia już miary.... Trwogi zimne
dreszcze
Przenikają do szpiku kości ludzkość całą....
Pod ziemią słychać grzmoty wulkanów
złowieszcze,
Ziemia drży, niebo chmur się zakrywa
nawałą....

Cicho.... Słońce się zniża ponure i krwawe...
Dziwnie złowrogi zachód — noc wieku
nastanie....
Kto wie? Może wyrzuci w tę noc wulkan
lawę
I ziemię całą skryje w lawy oceanie?

Któż zna, w jakie się łuny rozpostrze
straszliwe
Ten wybuch, co się grzmotem podziemnym
owróża,
Gdy raz rumak zniszczenia, rozpuściwszy
grzywę,
Zarży, pęta roztarga i pogna jak burza?...

Drży nawet tych gromada, niepokojem
zdjęta,
Co sami szarpią więzy strasznego rumaka:
Nikt nie wie, dokąd pójdzie uwolniony
z pęta?
Co stratuje po drodze i meta mu jaka?
Wybuch wisi nad światem, jak ów na
włosieniu
Miecz tyrana Syrakuz... Cóż gdy włosień
pęknie
I miecz utopi ostrze w ludzkości ciemieniu,
A ludzkość ugodzona zatoczy się, jęknie?...

Lecz ruń, mieczu straszliwy! Może ten
ludzkości
Jęk będzie jękiem matki, która w bólach
leży,
Wydając okrwawione z rozdartych
wnętrzności
Dziecko, jej życia owoc, bytu odkwit świeży.

Patrzcie! Piętrzą się nurty przepastne
potopu,
Ginie w nich ziemia cała z góry najwyższemi,
Aż oto dnia pewnego z błękitnego stropu
Jasne słońce zielonej uśmiecha się ziemi...

Ufajcie! Wierzcie!... Piekłem jest niemo-
żność wiary...
Wszak życie świata ruchem falistym się
sunie:

Zło życia dopełzło już chyba swej miary,
Dosięgło zenitu — zważy się i runie...

Ty roku nowy, z twarzą skrytą w chmurze
czarnej,
Ciemny, groźny: mów, co nam przyjście
twoje wróży?
Płomienny obłok dymu kulami ciężarny?
Brzęk młotów o bagnety? Szalony wir
burzy?
Milczysz?.... Straszne milczenie.... Oto noc
się zbliża,
Drży wnętrze ziemi, słońce ponuro zapada,
A miliony, do nędzy swej przybite krzyża,
W głuchą przestrzeń ślą okrzyk przera-
źliwy: Biada!...

Biada narodom, ludom!... Słyszysz, roku
nowy,
Ten jęk do oceanów podobny łoskotu?...
Pędź rumaku zniszczenia z grzmiącemi
podkowy!
Dniu pierwszy, obyś ty był zwiastunem
przewrotu!

JERZY HERWEGH.

CORAZ WIĘCEJ!

(Z niemieckiego).

Na wszystkie strony okrzyk mknie
O chleb, — aż słuch rozdziera!
Pół Europy w nędzy mrze,
Połowie głód doskwiera!

Spichrz pusty, a podatków moc —
I znów zawiodły żniwa...
W milionów głowach ciemna noc, —
Lecz wojska wciąż przybywa.

Wypełnić złotem skarbca loch!
Na jeźdźców, to na konie,
Na działa, na bezdymny proch,
Na szybkostrzelne bronie,

Na trony — złota, i na Rzym!
Wy pułki — hasło wiecie!
Ludzkości dobro — nikły dym,
Jej przyszłość — na bagnecie!

ANTONI LANGE.

OJCZYŹNIE.

Kocham Ciebie, Ojczyzno Ty nasza,
Boś Ty matką mi była rodzoną,
Kocham Ciebie, o ziemio Ty lasza,
Twoje lasy i wód Twoich łono;
Kocham pól Twoich wstęgę zieloną,
Wiejskie chaty i miejskie poddasza,
I to słońce, co burze rozprasza
I jaskółcze przyzywa ci grono.

Nienawidzę Cię, ziemio Ty grzeszna,
Że, pomimo zgrzyt kos ukraińskich,
Dla wybrańców w miłości bezkreśna,
Byłaś tłumom bez czuć macierzyńskich!
I zgłodniała wśród trudów murzyńskich,
Przygnębiona ta ciżba lemieszna,
Kiedy śmierć Cię rozdarła pośpieszna,
Nie powstała legionem Kilińskich...

Kocham Ciebie, o ziemio Ty smutna,
Bo tak straszno krwawiły Cię kary,
Tak Nemezys Cię gięła okrutna,
Tak odkupił Cię płomień ofiary —
Że cmentarzem są Twoje obszary...
Cała jesteś jak szata pokutna,
Całunami są szat Twoich płótna
I z całunów tych są Twe sztandary!

Nienawidzę Cię! w grzechu uparta,
Że, pomimo tych kaźni ciemiężnych,
Jeszcześ sercem dla ciżb nie otwarta
I nie czujesz w tych tłumach siermiężnych
Tajemnicy odrodzeń potężnych!
I że drżysz, kiedy przednia ich warta
Z krzykiem: Plama z czół naszych nie starta!
Gra pobudkę tych nowozaciężnych!

Kocham Ciebie, o ziemio Ty łzawa,
Bo ja wierzę, że duch Twój, Macierzy,
Kiedy przeszłość przed okiem Ci stawa,
Jasnowidzi, gdzie jutro Twe leży...
I gdy walki godzina uderzy,
Kochająca powstaniesz i krwawa,
By się oddać, jak jedna dzierżawa,
Dla tych jutra Twojego rycerzy.

FRANCISZEK HENRYK NOWICKI.

SYZYF.

Od wieków brzemię swe, jak prawo bytu,
Wytacza z ciemnych głębin na wyżyny,
Gdzie płonie gwiazda słońca u zenitu.
Od wieków musi wracać się w głębiny,
Po skałę ciągle strącaną ze szczytu
Przez gniewnych bogów słonecznej krainy.

W oczach ma przepaść niezgłębioną skargi,
W posępnej twarzy pomnik swoich dziei,
Spiekłe, milczeniem swem wymowne wargi,
Bary zgniecione trudem lat kolei;
Z ponurym losem nie idzie w zatargi.
Bo stracił nawet nadzieję nadziei.

Gdzie tylko ziemię poрył swym brzemieniem
I polał potem — tam głuche pustynie
Zawrzały życia dziejowym strumieniem,
Porosły łany na dzikiej krainie,
Runęły puszcze z prawiekowym cieniem
I wstały grody, pałace, świątynie.

I z jego potu wzrosło plemię tłumne
Podbiło ziemię — wstrzymało bieg słońca,
Prometeuszów plemię harde, dumne!

On — głaz swój w górę wytacza bez końca,
Rachując wieki kładące się w trumnę
I groby wolnych pokoleń tysiąca.

Biedny Syzyfie! ty chamie wzgardzony,
Za cóż cię bóstwa wplotły w los niedoli,
Byś władcom spiętrzał piramidy, trony,
Ikarów rasę skrzydlił — syn niewoli —
Byś ludy karmił, sam wiecznie zgłodzony,
Byś czuł dwa razy, co innych raz boli?

O biedny chamie! kryj łzy pod powieką,
Dźwigaj swą skałę i zdeptuj te góry,
Póki z twym potem w równie nie rozcieką;
Wtedy, praojcze dziejów i kultury,
Ludy twą skałę w Panteon zawleką,
A pamięć twoją obleką w marmury!

FRANCISZEK HENRYK NOWICKI.

SPARTAKUS.

Na Wezuwiuszu, w drzemiącym kraterze,
Wśród law, zakrzepłych pomników wy-
buchu,
Legli obozem Spartaka rycerze.
Wczoraj heloci na rzymskim łańcuchu —
Dziś, głód i rozpacz wziąwszy za puklerze,
W wulkanie znaki zatknęli rozruchu.

Śniade, odarte, dzikie ich szeregi,
Twarda ich mowa, grube są ich lica:
To rzymskich cyrków i spolaryów zbiegi!
Milszą im dzika górska okolica,
Niźli zielone, nadtybrzańskie brzegi,
Niż marmurowa Kwirytów stolica.

Milszą im wolność w kraterze, wśród lawy,
Gdzie jako chmura wiszą ponad Rzymem,
Za swą niedolę odwet niosąc krwawy;
Słodko im płacić krwią i pożóg dymem
Za srogość panów, za cyrków zabawy
I tryumfować nad rzymskim olbrzymem.

Z wulkanu urbi et orbi dziś głoszą
Koniec niedoli wzgardzonego gminu,
Ludy z nadzieją wzrok na nich podnoszą,

A panom świata, rycerzom wawrzynu,
Spokojność duszy przerażonej płoszą
Ryki tej czerni zbudzonej do czynu.

Zdala obozu i groźnych ech wojny,
Tam gdzie Wezuwiusz szczyt w błękicie
nurza,
Stoi gladyator błyszczący i zbrojny.
Twarz wodza tłumów, płomienny wzrok
wróża,
Na czole chmura myśli niespokojnej
Takie postaci rodzi gwałt i burza!

To Spartak! sternik buntowniczej arki,
Z rodu niewolnik — Prometeusz z myśli!
On dźwignął w górę niewolnicze karki,
Porwał ich z sobą, że w bój za nim wyszli,
Wydziedziczonych losy wziął na barki
I mieczem prawa ich z wulkanu kreśli.

Płomienna gwiazda słońca w morzu brodzi,
Spartakus patrzy w jej zachód i marzy...
Jutro rozprawy krwawy dzień nadchodzi,
Bo pretor stanął pod górą na straży
I ścianą kohort wszystkie wyjścia grodzi.
Wódz duma... z dołu płynie śpiew nędzarzy...

„Wy władzcy! próżne waszych gniewów
szały,
Cóż, że nas waszych legji tłum oblęże?

Nasze ramiona, które świat zorały,
Takie są twarde, że skruszą oręże,
A serca nasze w hańbie skamieniały
Tak, że ich wzgarda wasza nie dosięże.

Pluliście na nas, jak na wstrętne gady,
Wasz gniew nas w każdym dosięgnął za-
kątku,
Znój nasz u waszej piliście biesiady,
Na plecach naszych, podług lat porządku,
Wyście krwawemi wyżłobili ślady
Historyę ludu od świata początku.

Gdy głodni wyliśmy z naszych czeluści,
Gdy ból ran oczy przewracał nam słupem,
Drwili z nas wasi kapłańscy oszuści:
Pracuj! gniew bogów przebłagaj okupem!
Drwili cenzorzy przedajni a puści:
Pracuj! cierp milcząc! z prawa jesteś łupem!

Dziś my, zbudzeni z snu ciemnych stuleci,
Żądamy miejsca na świata zebraniu,
Żądamy słońca, które wszystkim świeci.
Legniem na waszem kwiecistem posłaniu,
Wieńce uczt waszych włożym — głodu
dzieci.
Żyliście! idźcie spać w mrocznem podaniu!

My was uczcimy pogrzebem kolosów!
Szkarłat pożarów rozpiąwszy na niebie,

Rzuciwszy przeszłość w ogień waszych
stosów,
Spalim świat stary na waszym pogrzebie!
I bór porośnie groby waszych losów,
Tak że ich sława ni żal nie odgrzebie!"

Wódz słucha... w dźwiękach tej pieśni posępnych.
Drga skarga dziejów i ból całych plemion
Minionych dawno, obecnych, następnych,
Ta znana, wielka, wieczna skarga plemion,
W obliczu świata zbrodniczych, występnych,
Gdy już nie mogą unieść swoich brzemion.

Brzmi w niej ta burza, córa nienawiści,
Co w puszczy ludzkiej, przelatując, zwiewa
Korony dębów i mroczny płaszcz liści
A niskim krzewom blask słońca odkrywa,
Co oddech świata gnijącego czyści
I szczyty koron i ołtarzy zrywa.

Skoczył wódz! spłoszył z czoła mgły zadumy
I krzyknął drżący i w dzikiem natchnieniu:
„Ojcze wulkanie! gdy jutro te tłumy
Pójdą do boju — ty w ziemi trzęsieniu
Brzmij im śpiew bitew, rozkiełzaj twe szumy,
Pomóż im stary świat grzebać w zniszczeniu!

Dziś gdy tyrania pół świata pogrąża
W bagnie podłości i niedoli czarnej,
I gdy świat ducha zgnilizna okrąża —

One rzuciły byt podły i marny
Na wolę burzy, wśród której świat zdąża
Ku zorzy jutra, po drodze ofiarnej!

W bój ich powiodę, który późne czasy
Wnukom swym, czasom piać z kolei będą,
W laur niewiędnący zdobiąc te zapasy —
A chociaż może pola nie zdobędą
O człowieczeństwo walczące paryasy
I brzegi Styksu ponure obsiędą —

Zostanie po nas ten krater półsenny
Pośród ludzkości sobkowskiej i chłodnej —
I wiecznie będzie, wybuchem brzemienny,
Zwycięzcom naszym kradł spokój wygodny,
Bo tym kraterem jest tłum bezimienny,
Tłum nieśmiertelny — odarty i głodny!...“

Wódz niewolników na myśli skrzydlatej
Nad przyszłość świata wylatywał mgławą,
Rydwan ludzkości w nowe wiodąc światy —
A zmrok po ziemi sunął dłoń szarawą,
W głębi krakały głucho rzymskie czaty
I słońce wolnych zachodziło krwawo...

Ludzkości! do dziś Wezuwiusz w kraterze
Gotuje tobie zniszczenie wybuchów,
Do dziś tam śniadzi Spartaka rycerze,
Ofiary aren, cyrków i łańcuchów,
Łzy, głód i rozpacz wziąwszy za puklerze,
Skryci w czeluści czekają — rozruchów!

FRANCISZEK HENRYK NOWICKI.

U WRÓT LUDOWYCH.

Zewsząd wygnana, z wściekłością ścigana
Z twierdz, miast, pałaców, z wsi, pustyń,
z gór szczytu,
Odarta z prawa do życia i bytu,
Pośród kul, strzałów jak zwierz dziki
szczwana,
Ucieka po świata przestworze
I wiecznie pada, ginąca, krwią zlana,
I wstaje, bo umrzeć — nie może!

Wieki już pierzcha i leje krew wieki
Krew swą serdeczną, krew ssaną od wrogów,
Nigdzie gościnnych nie znalazła progów,
Nigdy bezsennej nie zwarła powieki,
W tułactwie, ucieczkach wiekowych,
Aż raz w zaułku u chaty dalekiej
Do wrót zapukała ludowych.

Kto?... lud zapyta. — Ja... ranna... goniona...
Wejdź tu — tuś pewna — podzielim się
głodem,
Prześladowaniem, łachmanem i chłodem.
Dzięki ci ludu! rzekła zamyślona,
Żeś pierwszy mię przyjął w twą chatę,

Nie wiesz ty, kogoś przygarnął do łona
I jaką dam za to zapłatę.

Gnębią mię prawa ludzi wśród natury,
Ale, o ludu, jestem nieśmiertelną!
Ja tchnę ci w serce siłą czynu dzielną,
Ja dam ci w ręce, o tłumie ponury,
Ląd, morze, ich skarby olbrzymie,
Dam ci rząd świata, rozkosze kultury,
Dam dłoń swą, mnie Wolność na imię.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

BRANKA.

W całej wiosce dymią czuby,
A w karczmisku ćma narodu!
Każdy pije jak z zawodu
I smalone plecie duby.
Rok poczekasz, bracie, czasem,
Nim rozhasasz się tak dziko,
Nim się spotkasz z tym hałasem
No i z taką pijatyką.
Wieś okrutnie się rozżarła —
Jezus Marya! jakby solą
Bies zasypał ludziom garła...
Człowiek świat zna nie od wczora,
Z niejednego dął gąsiora,
Lecz takiego coś nie baczy —
Toż ludziska dzisiaj smolą
Jak na umór, jak z rozpaczy!

I to nie są ślubne gody,
Choć muzyka bez ustanka
Dudni głucho i kto młody
Hula, pije, dmie w zawody —
Ale to jest we wsi branka!
Stąd zaciętość wszędzie taka,

Każdy smoli poniewoli,
Jakby zalać chciał robaka...

Grajcie grajki, wódki żydzie!
Jezus Marya, toż to idzie!

Dudnią basy, a na dworze
Huczy nocna zawierucha.
Hej, wytrzymać człek nie może
I zaczyna tracić ducha...
Jakoś wszystko w nim się kłóci...
Skrzypak żali się na dudzie...
Każdy czuje, że gdy pódzie,
To już takisam nie wróci...

W tej muzyce chór szatani
Jątrzy serce, łeb tumani! —
Tam dziewuchy rzędem siadły,
Nieco zmilkły, nieco zbladły,
Pospuszczały w ziemię oczy,
A tu z oczu łza się toczy...

Oj, nie płaczcie — próżne płacze!
Nie tak straszne dni wojacze.
Brańcy pójdą w świat, daleko,
Tam w mundury ich obleką.
Toż chłopaków nie poznacie:
Zuch w obozie — prostak w chacie!
Gdy gród wielki zamajaczy,
Gdy zadzwoni szumnie szklanka,

Pierwsza lepsza markietanka
Pamięć dziewki ścmi wieśniaczej...
Co tam płacze! Gdy bój gruchnie
Chłopak prosto w ogień ruszy,
Ha, to będzie raj dla duszy!
Pierwsza lepsza kulka zdmuchnie...
Komu wtedy radość, płacze,
To kruk-poseł wczas zakracze...

Jezus Marya, wódki żydzie!
Toż to idzie, toż to idzie!...

Hola skrzypki! Tam, do licha,
U ścian starzy siedzą z cicha;
Chociaż tęgo smolą kołem
Ale milczą jak z urzędu...
Przepocony włos nad czołem,
W zblakłych oczach ćma obłędu...

Cóż wam, starzy?... Czy żal gnębi,
Że na marne tyle młodzi
W jakiś obcy świat odchodzi,
Gdzie im serce chłód wyziębi?
Że zapomną ojców mowy
I prostoty swej wioskowej?
Żal wam tylu rąk do pracy?
Żal wam ziemi opuszczonej?
Cóż wy wiecie!... Ci chłopacy
Będą zwalać, dźwigać trony!
Z czarnym orłem ponad skronią
Śród tryumfu świat przegonią!

Słychać, z niemcem będą boje,
Niemiec naszych gnębi srogo —
Toż więc chłopskich brańców roje
Wojska niemców bić pomogą!...
Będzie wojna straszna... krwawa...
Grzmią armaty... szereg stawa...
Ale stójcie!... Śród szeregu
W obcych pułkach bratnia mowa!!...
Ćmi się w oczach, pęka głowa,
W krwawym dymie świat się traci,
Rwą z bagnetem pułki w biegu,
A ty chłopie rżniesz swych braci...

Jezus Marya! Wódki żydzie,
Toż to idzie, toż to idzie!...

Dymaj grajku wprost do czarta!
Granie takie nie do słuchu...
Pełno dymu i zaduchu —
Czemu karczma wciąż zaparta?
Drzwi wywalcie!... Ha, jak parno!
Trochę wiatru, trochę burzy
Rozpalonej piersi służy.
Szumią wierzby — mrok — szaruga —
Jakie czarno, jakie marno!...

Tam blask widny przez opary,
W oknach dworku światło mruga,
Gdzie pan mieszka, siwy, stary.

Hej, ty panie, jasny panie,
Coś marsowo twarz się chmurzy,
Czy syn gotów do podróży,
Że pierś starą wstrząsa łkanie? —
Tam na ścianach malowidła
Twoich przodków rzędem wiszą,
Wieczór z kątów powiał ciszą,
Pył husarskie okrył skrzydła.

Jakże dufni ci rycerze,
Ci obrońcy ziem narodu!
Jakże straszny żal cię bierze,
Jasny panie, z ich zawodu!...
Pytaj głuchych malowideł:
Gdy tak rwali się do czynu
Śród wolności czczych mamideł,
Czemu z więzów swego gminu
Nie rozkuli do obrony?...
Dałażby to dziatwa Piasta,
Racławicki lud oraczy,
Co brał działa z pod kartaczy,
Wydrzeć sobie z rąk zagony,
Gdzie nadzieja kłosem wzrasta?!...
Ale krwią wzgardzono gminu,
Panom tylko liść wawrzynu!
Gdzież ten wawrzyn, dziś, niestety?
Kiedy wieszasz czcisz portrety.
Więc za przodków i z krwi własnej
Zdaj rachunek, panie jasny...

Jezus Marya! Wódki żydzie,
Toż to idzie, toż to idzie!...

Bęben warczy, trąbka dzwoni,
Słychać pochód, rżenie koni,
Chmura wojska już się zbliża —
Pożegnajcie znakiem krzyża!
Cicho dziewki! Cicho matki!
Miast kościołów są pałatki...
Cicho stary! Cicho zrzęda!
Wszelkie węzły rwie komenda...
Cicho wierzby! Cicho dzwony!
Coś zatapia w sercu szpony,
Coś zimnego z twarzy ścieka...
Front!... Hej, człowiek do człowieka!
A już teraz w tym szynelu
Pójdziesz chłopie, gdzie rozkażą,
Wszystko spełnisz z niemą twarzą...
Nawet — gdyby twe ojczysko
Jęło zbierać jak Głowacki
Zbuntowany naród lacki
I pod lufę wpadło blisko —
Nie drgnie dłoń, nie chybi celu...

Jezus Marya!... Wódki żydzie!
Toż to idzie!... Toż to idzie!...

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Z ULICY.

Odpowiedź Adamowi Asnykowi na jego wiersz „W loży", pomieszczony w Nrze 80. „Nowej Reformy" z r. 1896.

Socyalistyczny trybun Pankracy,
Co w karczmie stały ma pobyt,
Uczy, że jeśli mniej będzie pracy,
To większy będzie dobrobyt.
Asnyk: „W loży".

Tak, ty się na nas patrzysz zdaleka
I, siedząc w oknie jak w loży,
Chłodno z tragedyi szydzisz człowieka,
Poeta, śpiewak, ptak boży!

Czasem znużone oczy przymykasz
Jak Piłat umywszy ręce.
Lecz tam wre znowu... Patrzysz i sykasz
W pesymistycznej piosence.

Ach, tam wre ciągle!... Wre piekło bytu,
Z starości marzeń cię budzi,
Subtelne ucho pełne skowytu...
Dalibóg, jakże to nudzi!

Świeczka za świeczką gaśnie w twej duszy,
A w dole zamęt się sroży...
Zaiste, ile cierpi katuszy
Śpiewak narodu, ptak boży! —

Niegdyś poetów naszych plejada
Znacznie mniej była wybredną,
Któż nie pamięta śpiewu Konrada:
„Ja i mój naród to jedno!“

I dziś, gdy z trudu pobladły czoła,
A w piersiach tchu ledwo stanie,
Lud z dawnym wieszczem ku loży woła:
„Nie znałeś litości, panie!“ —

Wysoko w loży dumasz o świecie
Okryty sztuki mgławicą,
Lub w brylantowej rymów karecie
Przejedziesz czasem ulicą.

Lecz dla poety w ulicy tłumno...
Powozik zwróć do Wawelu,
Jedź nad Adama podumać trumną,
Który... wiesz... kochał tak wielu!...

Po orlich wzlotach, po życia wojnie,
Nie dbając, gdzie głowę złoży,
Jak król prostoty legł tu spokojnie
Poeta, śpiewak, ptak boży!

Stajesz śród sklepień... Przez mrok, pustkowie
Z grobów ku tobie zagrzmiało
Jak groźne echo: „Polscy wieszczowie,
„Ach, cóż się dzisiaj z was stało!“

Uciekaj stamtąd! Groby gadają,
U wieżyc słychać krakanie,

Ptactwo wrzaskliwą chichocze zgrają:
„Nie znałeś litości, panie!"

Jedź na sonetu giętkich resorach
I siadaj znów śród twej loży,
Niech myśl po dumań puszcza przestworach
Poeta, śpiewak, ptak boży!

W dole wre życie, zamęt i praca
I szary motłoch się wije;
Próżno twe oko tam się obraca,
Kurzawa boju świat kryje.

Pod tą kurzawą ciągną miliony,
Miliony narodu twego,
Mijają lożę... Twój wzrok zamglony
Jeszcze nie widzi niczego...

Żądają tylko chleba i duszy!
Wrzask bije w okna z ulicy...
Nerwowym ruchem zatykasz uszy:
Fe, oni wrzeszczą, jak dzicy!

Suną szeregi, wstaje kurzawa,
Padasz na twoje posłanie,
Ale przez okna uderza wrzawa:
„Nie znałeś litości, panie!"

Wracasz do okna... Rosną szeregi
I krwawy sztandar powiewa.
Kto wiedzie tłumy? Miasto po brzegi
Świat jakiś nowy zalewa!

Czy młody naród z polskich popiołów
 Jak Feniks nagle powstaje,
Tu... w cichem mieście... mieście kościołów??
 Któż umiał zebrać tę zgraję??...

Znowu kurzawa lożę zakrywa
 I nic nie widać w natłoku.
Zamykaj okno!... Skroń twoja siwa
 I mgła starości na oku!

Chłodne twe serce, martwa już ręka
 Nie spocznie na piersi tłumu,
Och, nie dla ciebie to, co tłum nęka,
 I nie dla twego rozumu!

Nie będziesz śpiewał naszych nadziei,
 Ni mąk, ni ofiar, ni bojów,
Nie będziesz wieszczem naszej idei,
 Boś naszych nie przelał znojów!

Nie wiesz, co krzepi dusze prostacze,
 Ty tylko drwisz jak szyderca,
Nad twą mogiłą lud nie zapłacze,
 Boś nie miał dla niego serca!

Twe ślepe oko jutra nie bada,
 Jak puszczyk witasz zaranie,
Nie biły w tobie ognie Konrada,
 Nie znałeś litości, panie! — —

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

WOJNA DOMOWA.

Broń na ramię, marsz i kwita!
Dokąd? Po co? Nikt nie pyta!
W ładownicy kula lśni,
Ona drogę wskaże ci.

Gdzieś w powietrzu trąbki grają,
Kłęby kurzu z ziemi wstają,
Miła matka, miły świat —
Matko, świecie, pal was kat!

— „Panie kapral, ponoć w Białej
Fabryki się zbuntowały?"
— „Milczeć, chłopy! Baczność, stój!
Gdzie ci wskażą, tam wróg twój!"

Wiatr odwiewa dym z nad sioła.
Hej, co fabryk dookoła!
Na ulicy ludu huk,
Nie chcą robić — wie ich Bóg!

— „Panie kapral, zejdźmy z drogi!"
— „Milczeć, chłopy! Broń do nogi!"
Ciżba sunie, co za wrzask!
— „Zniżyć lufy, podpiąć kask!

Baczność, nabić!" — Tfu, do dyaska,
Nabój w łożu jeno trzaska...
Piersi chwyta jakiś żal...
— „Cel!"... Kie licho?!... „Baczność — pal!"

Huknął ogień, dym opada.
Aż tu na nas rwie gromada...
Jak kamieni sypnie grad...
Jezu!... Człowiek na twarz padł...

Tysiąc świeczek błysło w oku,
Krew... Tłum depce śród natłoku...
Świat się nagle w oczach ćmi...
Matko, świecie, żegnaj mi!...
. . . .

Cicho... Pusto... Pola w mroku...
Kto to? Cichy jęk brzmi z boku...
Bracie, ktoś ty? We krwi skroń?
Chcesz się napić? Bierz to w dłoń!

Cała bluza pociachana,
Głowa, ręce — jedna rana!
Księżyc błyska z ponad smug:
Słuchaj, bracie, czyś ty wróg?

Jezu! Jaśniej miesiąc świeci —
Taż my jednej matki dzieci!
Józek, co ty robisz tu?!...
Przymknął oczy, słabo mu...

Wody! Hej, kto żyw w oddali!...
Pocośma się tak ciachali?...
Czekaj, łeb owiążę ci...
Boże, bądź miłościw mi!...

Józek! Toś ty tu pracował?
A nasz oddział w was celował!
Coście buntowali się?
Przez Bóg żywy, gadaj-że!

Chryste, słupem stają oczy,
Już mu cała twarz się mroczy...
Józek!... Zimny... To ja, brat!
Józek!... Milczy... Ha, już zbladł...
. . . .

Trąbki grają gdzieś w oddali,
Grzmią maszyny, żołnierz wali.
Co to było?? Jedna z szarż!
Milczeć! Słuchać! Naprzód! Marsz!

FELIKS PERL.

ARMIA POSTĘPU.

W majowem słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione.

Idą tak dumni w blaskach słońca,
A w oczach zapał im się żarzy —
Od końca świata aż do końca
Przed nimi blednie zastęp wraży!

Idą wciąż dalej — moc ich rośnie —
Nic tych zuchwałych nie powstrzyma —
I hardy okrzyk brzmi rozgłośnie:
Dla śmiałych żadnych przeszkód niema.

Dziwna to armia! Nie Cezary,
Ani Atylle w bój ich wiodą,
I nie królewskie ich sztandary,
Ni ksiądz święconą czcił je wodą.

Pod czerwonymi sztandarami
Idzie — o dziwo — wojsko nowe:
Własnej swej sprawie oni sami
Dali te godła — te bojowe.

Dziwna ta armia! Rzekł „Bicz boży“,
Gdy szedł na Romy kwietne błonie:
„Nie wzejdzie trawa ni kwiat hoży,
Gdzie stąpią Hunów moich konie“.

Gdzie hufce przejdą zaś czerwone,
Tam kwiat wyrasta wnet uroczy,
Niwy tam cudnie umajone:
Tam kwiat piękności nęci oczy.

O, dziwna armia — armia święta!
Ona nie idzie siać zniszczenie —
Lecz tępić chwasty, targać pęta
I płoszyć nocy groźne cienie.

Armia postępu i swobody,
Co rzuca wieści nam radosne,
Zwiastuje przyszłe świata gody,
Po ciężkiej zimie — cudną wiosnę.

W majowem słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione!

MARYA MARKOWSKA.

CZUWAJ ULICO!

Czuwaj Ulico! czuwaj, strzeż!
Oto z podziemnej dusz głębiny
Słoneczny się roztęczył cud,
Oto przemówił gromem Lud! —
Pierzcha niewoli upiór siny,
Trudu i męki rośnie plon,
Wolności złotem ziarnem lśni
I dawnych zbrodni wieści skon.

Bywaj Ulico! bywaj, koś!
Oto się wielki dzień zaczyna,
Oto twych zbożnych żniw godzina!
Raz jeszcze potem ziemię roś,
Na łany rusz, jak jeden mąż,
Z tych plennych garści snopy wiąż,
Zdobywaj! twych to żniw godzina!
Nie żałuj krzepkich ramion trudu,
Ani płomiennych serc ofiary,
Aby wypełnił się dzień cudu
I w gruz porządek runął stary!
Czuwaj! hej, czuwaj! Jeszcze chwila...
Ty na wyłomie stój, a strzeż!
Oto już szala się przechyla...
Oto się Jutra bój zaczyna —
Więc na zamiary siłę mierz —
Zdobywaj! twych to żniw godzina!

MARYA MARKOWSKA.

GRAJEK.

„Wam, to bracia, Wam,
I śpiewam i gram"...

A ja sobie wiejskie chłopię,
Włosy jasne jak konopie,
Oczy modre,
Serce dobre
I te skrzypki mam.
Idę sobie między ludzi —
Kto tam czuwa, kto się budzi,
Komu bieda,
Niema chleba —
Wszystko, wszystko znam!

Głodną nędzę i niedolę,
Grzbiety zgięte, pot na czole,
Znój roboczy,
We łzach oczy,
Ciężki, krwawy trud.
Orzą pługi, huczą młoty,
Jednym deszcz się leje złoty,
Innym nędza,
Szara przędza,
Mrok, i chłód, i głód...

I tak w duszę grajka spływa,
Każda dola nieszczęśliwa,

Zła niewola,
Cudza rola —
Wszystko w sercu mam.
Nic tej skargi nie zagłuszy,
Aż się echa zbudzą w duszy,
Głowa płonie.
Skrzypki w dłonie
Chwytam wtedy — gram.

Płyną pieśni, płynie granie,
I niejeden słucha, stanie,
Dźwięki chwyta,
Grajka pyta:
Skąd te pieśni znasz?
Że w nich nasza troska woła,
Ból, co nasze chmurzy czoła,
Że radosna
Idzie wiosna —
Skąd to, grajku, masz?

Skąd? hej bracia! po tej ziemi
Ze skrzypkami chodzę swemi,
Męstwo sieję,
I nadzieję,
Sercem własnem gram!
Na złą dolę, ciężką drogę,
Pieśnią moją dopomogę —
I jak żywa
Skrzypka śpiewa
Wam to, bracia, wam!

MARYA MARKOWSKA.

ŻNIWA.

Hej oracze, idą żniwa!
Sierpów trza się jąć,
Już przepiórka woła, wzywa,
Pójdźcie, pójdźcie żąć! —

W złotem słońcu łany złote,
Gnie się ciężki kłos,
Dzwonią sierpy na ochotę,
Iskry lecą z kos.

Szumią, szumią zbożne niwy,
Niesie ziemia plon,
Nowe życie, czas szczęśliwy,
Starej biedzie zgon.

Hej! my sieli, my orali
Własny zagon swój
I tej ziemi wszystko dali:
Łzy i krew i znój.

Dziś się kłosy gną na łanie,
Przyszłość woła nas,
Niech do żniwa każdy stanie:
Czas oracze, czas!

Własny zagon, własna gleba,
Śmiały, wolny lud —
Nic od obcych nie potrzeba,
Nasz tu pot i trud.

Hej za sierpy, hej za kosy!
Idzie biedy zgon,
Szumi łan nasz złotokłosy,
Plon nam niesie, plon!

MARYA MARKOWSKA.

PIEŚŃ GÓRNIKA.

Miłuję kwietną zieleń łąk,
Pas rzeki srebrem tkany...
— Kilof, nie kwiaty dla twych rąk,
Dla oczu pył węglany!...

Miłuję słońce, lasów szum
I poszept zbożnych łanów...
— Tęsknotę, bracie, w piersi stłum.
Pod ziemię idź — dla panów!

Miłuję cichy polny smug,
Woń rozoranej roli...
— Baczność! pod ziemią czyha wróg,
Wysysa krew powoli...

A niechże spadnie młotów raz
Na te duszące skały,
A niechże skruszy ciemnic głaz,
By dzień w nich błysnął biały.

RYSZARD DEHMEL.

PIEŚŃ ROBOTNIKA.

Przełożyła z niemieckiego Marya Markowska.

Niczego nam nie brak na świecie,
Tak, żono!
Jest w chacie i łóżko i dziecię,
I słońce i gwiazdy nam płoną,
Roboty aż nadto jest przecie. —
By wolnym jak leśny być ptak,
Drobnostki brakuje nam pono —
To czasu brak!
Gdy wyjdziem na pola,
Dziecino,
Tam w skrzydła uderza jaskółek swawola,
A fale kłosiane i gwarzą i płyną,
Na wszystkiem słoneczny żar leży. —
Nie braknie nam tedy świątecznej odzieży,
By pięknym jak leśny być ptak, —
Lecz czasu brak!
Hej czasu! Huragan się zrywa,
Grzmi w dali, —
Już mija ta wieczność straszliwa!
Wszak nikt się na braki nie żali,
Bo tylko brak w chacie nędzarza
Wszystkiego, co pracą swą stwarza. —
By wesół był każdy jak ptak,
Dziś czasu brak!

JERZY ŻUŁAWSKI.

ZA WOLNOŚĆ I LUD!

(W rocznicę rewolucyi 1848 roku).

Leciał z zachodu rumak złotogrzywy
Przez zamki, sioła i miasta i niwy;
W ogniach i błyskach, słońcach i piorunach,
W dymu obłokach i pożarów łunach
Leciał i rżał.
Z pod kopyt iskry strzelały mu duże,
Trzęsienie ziemi szło za nim i burze
I wichrów szał
I krwawa światła wstającego zorza
Nad lądy ziemne, nad zastygłe morza,
Na czoła skał,
Nowy wieszcząca starej ziemi wschód,
A w zorzy okrzyk: Za wolność i lud!

A gdzie koń zagrzmiał w miesięczne pod-
kowy,
W proch się królewskie pochyliły głowy,
Trzęsły się turmy, burgi i więzienia,
Pękały lochów odwieczne sklepienia
W nawale burz,
Rwały się węzły, łańcuchy i pęta, —
Wiosna wolności szła po ziemi święta
W koronie róż.

W grzmotach i gromach, w burzy i orkanie,
W ziemi trzęsieniu, w błysków huraganie
I w ryku mórz
Jawił się ziemi upragniony płód, —
Wschodziło słońce! — Za wolność i lud!

Nad grobów zgliszcza, nad zwalone turmy
Brzmiały straszliwe archanielskie surmy,
A dźwięk ich każdy był jak miecz i płomień,
Żagiew rozruchów i taran rozpromień
I święta dzwon.
Ospałych budził do życia i czynu,
Skroń niewolników wieńczył w liść wa-
wrzynu
Na bój, na skon, —
I grzmiał po świecie wielki i szeroki,
W chmury — i wyżej — nad dymne obłoki,
Przed gwiezdny tron,
Skąd Stwórca krwawy błogosławi trud,
Słysząc dział modły: Za wolność i lud!

O, przebacz-że nam, Wiekuisty Panie,
Że choć nam zsyłasz wolności zaranie,
My, bohaterów krwią tacy rozrzutni,
Zgasnąć mu dajem i znów idziem smutni
W jarzma i cień;
Że spać się kładziem na ich świeżym grobie
W godzinę świtu i o rannej dobie
Bez snów i drżeń;

Że znowu martwe i głuche te błonia,
Któreś tententem wstrząsnął swego konia;
Że kona dzień,
Co z za rozbitych lśnił przemocy wrót
W świetnym okrzyku: Za wolność i lud!

F. MIRANDOLA.

IDZIEMY JAKO FALA WÓD...

Idziemy jako fala wód,
Idziemy jako wichr po hali,
Iżbyście raz zadrżeli i poznali,
Co może lud.

Zasłonę zedrzem z wszystkich złud,
My, cośmy bogów nie żebrali,
Ale — jak słonko rano — wstali
Na jutra cud.

Do jasnych brzegów idziem w bród,
Do dobra, co tam błyszczy w dali,
Stąpamy po was, ludzie mali,
Do szczęścia wrót.

Cóż, że nas wielki czeka trud,
Gdy przyszłość w duszach nam się pali?
Czegoż nie złamie, nie obali
Gigantów ród.

GUSTAW DANIŁOWSKI.

WYKLĘTYM.

Wyście wyklęci z szeregów narodu,
Bo go pragniecie odrodzić od spodu,
Mężnie walczycie, nie ulegli w męce
O mur niewoli rozbijacie ręce.
Za bohaterstwo, za bój i za blizny
Wyście wyklęci z obrębu ojczyzny.

Lecz któż was gromi, kto te klątwy miota?
Podły niewolnik, co jeszcze w łańcuchach
Z wrogiem targ wiedzie, by rozkuł mu
dłonie,
A miecz zagłady położy na duchach,
Zagrodzi drogi nowego żywota
I zdławi ogień, którym naród płonie.

Wasz wyzwoleniec — ale nie pamięta,
Że na wierzch spłynął na waszej krwi rzece,
Żeście mu dali narodowe święta,
Szturmem zdobyli jemu plac na wiece,
Na których głosi, że kto ruch w krwi spławi,
Bunt ludu zdusi — ten Polskę wybawi.

Polsko! — szachrują wiecznie twem imie-
niem,
Jak w maskę kryją znikczemniałe lica.

Gdy grób odwalasz — potępieńczym cieniem
Zawsze nad tobą staje Targowica,
By za przywilej sprzedać lud — twe ciało,
I skrwawić serce, co go ukochało.

Męczeńskie serca, rozognione raną!
Krwią jej lud pojcie, karmcie go swem ciałem,
By rósł i mężniał i wzmagał się w siły,
A pójdzie z wami w ziemię obiecaną
Drogą wykutą waszym ideałem —
I całą Polskę wydźwignie z mogiły.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Z „PIASTA“.

Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło,
żeby się podłość Polski w niej obmyła,
by się zbliżyło k'nam spragnione dzieło,
na którem przyszłość narodu spoczęła;
by krwią i ogniem pożarów objęło
wszystko, co pamięć w przeszłości przeklęła;
i pokolenia szły pokoleniami,
już niepamiętne hańby, co nas plami.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Z „WESELA“.

Orły, kosy, szable, godła,
pany, chłopy, chłopy, pany:
Cały świat zaczarowany,
wszystko była maska podła!
Chłopy, pany, pany, chłopy,
szable, godła, herby, kosy,
aż na głowie wstają włosy,
wszystko była podła maska
farbiona — jak do obrazka:
cały świat zaczarowany.
— — — — — — — — — —
Snuło się to jak gorączka,
jak gorączka na wulkanie,
jak szumienie na organie:
takie figury w koronie,
tacy pyszni szlachta w herbie,
pałace, zamczyska, wille.
tabunami gnane konie,
sześciu paradników w tyle:
hulaj dusza bez kontusza
z animuszem, hulaj dusza!!
Ani zbili pan w koronie,
że stoimy gdzieś na szczerbie,
ani zbili szlachta w herbie,

ani zbili chłop przy roli,
czy tam kogo gdzie co boli:
wół przy roli, świnia w ganku —
hulajże panie kochanku!
— — — — — — — — — — — —
Wy, a wy — co wy jesteście:
wy się wynudzicie w mieście,
to się wam do wsi zachciało:
tam wam mało, tu wam mało,
a ot co z nas pozostało:
lalki, szopka, podłe maski,
farbowany fałsz, obrazki!
Niegdyś, gdzieś tam, tęgie pyski
i do szabli i do miski;
kiedyś, gdzieś tam, tęgie dusze,
pół-waryackie animusze:
Kogoś zbawiać, kogoś siekać,
dzisiaj niema na co czekać.
Nastrój? macie ot nastroje:
w pysk wam mówię litość moję! Tfu!

CZĘŚĆ III.

HUMOR I SATYRA.

HANS SACHS.

BRAT WĄTPISZ I CUDOWNE PIÓRO.

Przełożyła M. Markowska.

W Westfalii mała jest mieścina,
Która Kortalu nosi miano.
Przy niej wzgórz szereg się zaczyna,
A te z obfitych pastwisk znano.

Pasła się bydła moc nielada,
Ale przeważnie świni stada.
Więc licznie szli tu — pewni swego —
Mnichy świętego Antoniego,
I każdy starał się w pokorze
Jałmużny zebrać, ile może.

Raz właśnie mnicha tam wysłano,
Który Wątpisza nosił miano;
Lis był, na cztery kuty nogi!
Gdy opowiadał, lud ubogi
Z podziwu usta niby wrota
Otwierał — takie łgarz-niecnota
Prawił im dziwy, cuda, baje.
Każdy mu jednak wiarę daje —
Ot, prości, głupi są ludziska.
Z mnichem szedł sługa Lizimiska,
Głupi i ciężki — istna kłoda.
Jedna przyjęła ich gospoda.

Nazajutrz — była to niedziela —
Mądry mnich ludziom rad udziela,
Z ambony woła, grozi, prosi:
Niech każdy jaknajwięcej znosi
Darów dla księcia niebieskiego,
Dla przesławnego Antoniego;
Niech dają zboże, chleb, kiełbasy,
Pieniądze, wino — po wsze czasy
Święty przez wdzięczność świń strzedz
będzie
Od wilków. Skończył swe orędzie
I z nabożeństwem opowiada,
Jaki niezwykły skarb posiada
Ku utrapionych dusz radości.
Gdy dzwon na nieszpór ludzi zwoła,
Wszystkim pokaże z Archanioła
Gabryela skrzydeł jedno pióro.
Słyszą to młodzi dwaj zuchowie
I czują kłamstwo w każdem słowie.
Mnich za gościnnym zasiadł stołem.
Ci do gospody suną społem,
Cud-pióro mnicha wykraść żywo.
W gospodzie był nasz Lizimiska —
U kuchennego siadł ogniska,
Drzemie, do dziewki się przymila —
Słowem, wybrana była chwila!
Patrzą: komora pusta, cicha —
Otwarty leży worek mnicha,
W nim, ku uciesze i zabawie,
W szkatułce małej piórko pawie

Znaleźli — w jedwab owinięte,
I pragnąc zgnębić mnicha zdradą,
Na miejsce piórka węgiel kładą:
Co też uczyni na nieszporze,
Gdy zamiast pióra — węgiel w worze?

Na nieszpór spieszy wszelka dusza,
I nasz brat Wątpisz już wyrusza.
Szkatułkę swoją bierze — ale
O dziwnej zmianie nie wie wcale.

Zaczął kazanie, mądrze, czule,
O skarbie, jaki ma w szkatule.
Więc z namaszczeniem ludziom prawił:
Gdy się w Nazareth Gabryel zjawił,
Niosąc anielskie pozdrowienie,
Utracił pióro. Niech skupienie
Pobożne w duszach waszych będzie.
Zapalcie światła! na kolana!
Oglądać cud wam łaska dana.
Dłoń już na skrzynki składa drzewie
(A co go czeka — jeszcze nie wie)
I szybkim ruchem ją otwiera —
Miast pióra, węgiel z niej wyziera!
Wątpisza trwoga to niemała,
Aż piękna mowa się urwała.
Lecz wnet zrozumiał, czego trzeba,
Ręce i oczy wzniósł do nieba
I woła: Patrzcie, cuda, dziwy!
Toż ja myślałem, przez Bóg żywy,

Żem zabrał pióro Archanioła,
A mam tu inną świętość zgoła:
Węgiel — co na nim był pieczony
W Rzymie Wawrzyniec święty, czczony
Męczennik. Węgiel wyprosiłem,
Gdy w Jeruzalem świętem byłem,
Dał mi go ksiądz błogosławiony,
A jest on siłą obdarzony
Cudowną. Kogo, bracia moi,
Dotknie — pożaru się nie boi
Rok cały — a więc w dobrej chwili
Dajcie się dotknąć, bracia mili!

I do Wątpisza wraz ochoczo
Starzy i młodzi już się tłoczą,
I każdy składa grosz w ofierze.
On z namaszczeniem węgiel bierze,
Babom na czepcach krzyżyk stawia,
A grosz wyławia i wyławia.
Za czarny węgiel bierze białe
Srebro na większą boską chwałę.
Za nie napije się i naje,
A ludzie wierzą, co im baje.

HENRYK HEINE.

PIEŚŃ STARA I NOWA.

(Z poematu „Niemcy. Baśń zimowa").
Przełożył Emil Haecker.

Harfiarka mała nuciła pieśń,
Z prawdziwem uczuciem nuciła,
A głosem fałszywym — lecz mimo to
Jej gra mnie bardzo wzruszyła.

Śpiewała miłości szał i ból,
Ofiarę i odnalezienie
Tam w górze, w lepszym świecie hen,
Gdzie niknie wszelkie cierpienie.

Śpiewała o ziemskim padole łez,
Radościach, co szybko się strawią,
O tamtym świecie, gdzie dusze się
W rozkoszach wieczystych pławią.

O abnegacyi starą pieśń,
To Eiapopeia o niebie,
Co się nią duże dziecko: lud,
Gdy krzyczy, do snu kolebie.

Znam ja tę nutę, znam ja ten tekst.
Znam też autorów przypadkiem:

Wiem, każą z ambony — wodę pić,
A wino spijają ukradkiem.

Ja nową pieśń, ja lepszą pieśń,
O bracia, chcę wam ułożyć:
My chcemy na tej ziemi już
Królestwo niebieskie stworzyć!

My chcemy na ziemi szczęśliwi być,
Nie chcemy żyć w nędzy i męce:
Niech nie śmie przeputać leniwy brzuch,
Co pilne stworzyły ręce!

Na ziemi rośnie chleba dość
Dla wszystkich ludzi na życie,
I piękno i rozkosz i róże i mirt
I groch cukrowy obficie.

Tak, groch cukrowy dla ludzi wszech,
Gdy tylko pękną strąki,
A niebo niech mają na wieczny czas
Anioły, wróble, skowronki.

A gdy po śmierci skrzydła nam
Urosną — do was, do góry
Polecim z wizytą, by z wami tam
Jeść torty i konfitury.

To nowa pieśń, to lepsza pieśń!
Jak flety brzmią jej tony!
Już Miserere skończyło się,
Umilkły pogrzebne dzwony.

Dziewica Europa zaślubia dziś
Pięknego Geniusza wolności,
W uścisku się pierwszym spletli już,
W pocałunku pierwszym miłości.

Choć błogosławieństwa klechy brak,
Legalne są zaślubiny.
Niech para młoda żyje nam
I przyszłych jej dzieci tuziny!

JOWIALSKI.

NOWOCZEŚNI BUDRYSI.

Stary hrabia trzech synów,
Takich jak sam kretynów,
Do komnaty przyzywa i prawi:
„Zaprzęgajcie rumaki
I spakujcie swe fraki,
Każdy z was niech mi dzielnie się sprawi.

„Bo czytałem w gazecie,
Że dla szlachty dziś przecie
Jest w Galicyi poprostu wiek złoty,
Że katedry, mandaty,
Lub też posag bogaty
Tylko naszej czekają ochoty.

„Wyście krzepcy i zdrowi;
Jedźcie służyć krajowi,
Choć rozumu nie dały wam bogi.
Macie wstręt do bibuły,
Lecz hrabiowskie tytuły, —
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jechać jeden z was musi
Na wybory ku Rusi:
Tam mandaty dziś jeszcze są tanie.

Żandarm, kahał, starosta
Obowiązkom swym sprosta,
Hrabia łatwo tam posłem zostanie.

„Niech zaciągnie się drugi
W stańczykowskie usługi
W Jagiellonów prastarej stolicy.
Chociaż cymbał jest głupi,
Niechaj w łaski się wkupi —
Profesorem zostanie wszechnicy.

„A do Lwowa niech trzeci
Na karnawał poleci;
Nieszczególne tam znajdzie kobiety.
Lecz wybierze tam zato
Narzeczoną bogatą,
Posag stamtąd przywiezie obfity.

„Tak i ja przed pół wiekiem,
Gdym był młodym człowiekiem
Do posażnej dobrałem się żony,
A choć ona już w grobie,
Przypominam ją sobie,
Ile razy obcinam kupony".

Taką dawszy przestrogę
Błogosławił na drogę;
Oni wsiedli i znikli wnet w dali.
Idzie jesień i zima,
Synów niema i niema.
Hrabia myślał: w Monaco się zgrali.

Po śnieżystej zamieci
Do wsi sanną ktoś leci,
Stangret szkapy zacina w skok batem.
„Jesteś posłem wybrany?
Z czemże wracasz, kochany?“
„Z profesurą, posagiem, mandatem“.

Po śnieżystej zamieci
Do wsi sanną ktoś leci,
Z dobrym wraca on tu rezultatem.
„Masz posadę docenta?
Z czemże wracasz na święta?“
„Z profesurą, posagiem, mandatem“.

Po śnieżystej zamieci
Do wsi jedzie mąż trzeci
Z miną gęstą, obliczem wyniosłem.
Ale nim opowiedział,
Stary hrabia już wiedział,
Że ma posag, katedrę, jest posłem.

CZĘŚĆ IV.

FRAGMENTY DRAMATYCZNE.

JULIUSZ SŁOWACKI.

Z „KORDYANA“ *).

(Sala adamaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach; koło niego na złotym trójnogu tyara, a na tyarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar, odmykając drzwi dla wchodzącego Kordyana, krzyczy głośno)

S z w a j c a r.

Graf Kordyan, Polak!

P a p i e ż.

Witam potomka Sobieskich.

(Wyciąga nogę. — Kordyan przyklęka i całuje).

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich,
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy,
Bo cesarz, jako anioł z gałązką oliwy,
Dla katolickiej wiary chęci chowa szczere.
Powinniśmy hosanna śpiewać.

---

*) Papież Grzegorz XVI wydał w 1832 roku encyklikę, w której nazwał powstanie polskie buntem przeciwko l e g a l n e j (prawnej) władzy i sławił w s p a n i a ł o m y ś l n o ś ć cara. To miał na myśli Juliusz Słowacki, opisując scenę przyjęcia w Watykanie.

P a p u g a (cienko i chrapliwie).
Miserere ! ! ! *)

K o r d y a n.

W darze niosę ci Ojcze relikwię świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto
Dziatek, starców i niewiast. Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem eucharystyi;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
Wzamian daj mi łzę, jednę łzę —

P a p u g a.
Lacrima Christi... **)

P a p i e ż (z uśmiechem do papugi, machając chustką).

Precz Luterku! precz, mówię. — Cóż, synu Polonie,
Byłeś-że w Piotra gmachu? w Cyrku? w Panteonie?
Ostrzegam: bądź w niedzielę w Chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki —
Dej mi go przysłał Fezki. — Jutro z majestatu
Dam wielkie pożegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą!
Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...

*) Zmiłuj się! **) Łza Chrystusa.

Kordyan.

Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogo-
sławi...
Cóż powiem? —

Papuga.

De profundis clamavi, clamavi! *)

Papież (zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę)

Precz szatanku! Z tyary na pastorał rusza,
Przeklęte zwierzę ptasie — o mało nie po-
wiem,
Że w niej zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków — ergo, ponieważ, al-
bowiem.
Raz za firanką skryta, wdała się w dy-
sputy
Z kardynałem, prezesem dotaryi biura.
Rozumiał, że mu doktór jaki tęgo kuty
Odpowiadał na kwestye **) — ona trzęsła
pióra,
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzy-
kiem.
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe,
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: „Pappe satan! pappe satan!
aleppe!"

---

*) Z głębin wołałem, wołałem!
**) Zapytania.

Głupie stworzeńko! Takto czasem Bóg pozwala,
Że słaby Goliatów rozumy obala. —
No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród
Wygubi w sobie ogńiów jakobińskich*) zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

Kordyan (rzucając na powietrze garść ziemi).
Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanemi usty do kraju powrócę. —

Papież.
Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę!
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja,
A lud pod jego cieniem żyje.

Papuga
Aleluja! —

---

*) Rewolucyjnych.

SPIS RZECZY.

15 —
556350/23872

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Biblioteka Główna UMK
300050100070